Nr. 21. Lwów, Niedziela dnia 20. Stycznia 1878 r. Tom VI

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

PRZEMYSŁ GOSPODARSKI.

Wieś nasza może czasem malowniczo przedstawiać się oku. Mało jednak w naszym biednym kraju takich okolic, gdzie są wsie, które na myślącym wędrowcu prawdziwie wesołe mogłyby zrobić wrażenie. Bo czyż nie żal patrzeć na te chaty niskie, dymne, w których nasz lud swój żywot przepędza, na te koszlawe zabudowania gospodarcze, liche opłotki, podskubane wierzby zamiast sadów, pustkowia pastwiskami zwane, w pośrodku wsi, zamiast warzywnych ogrodów, nędzne, niechlujnie utrzymane bydło, a wreszcie lud zmyślny, pojętny, wśród bogatej przyrody, w ustawicznym pogrążony niedostatku, źle żywiony, licho ubrany, z melancholią w wyrazie oczu?

Kto patrzył za granicą na tamtejsze wsie murowane, zasobne, czy nie powstało w nim wówczas rzewne wspomnienie ojczystej wsi, czy ze smutkiem nie pomyślał sobie: „Kiedy to *nasza* wieś doczeka się podobnej zamożności?...

Daleka do tego droga. Lecz śmiało można powiedzieć, iż wspieranie przemysłu rolniczego to jedna z najwdzięczniejszych prac cywilizacyjnych na wsi, bo ona natychmiast wynagradza się dobroczynnymi skutkami.

Pielęgnować przemysł rolniczy pomiędzy włościanami znaczy, zaprawiać ich do takich zajęć gospodarczych, które, w porównaniu z dotychczasową intratą z gospodarstw włościańskich, bardzo znacznie podnieść mogą dochody rolników naszych, przysparzając im lepiej opłacających się produktów niż samo zboże. Mamy wiele przykładów, że pojedyńczy człowiek stał się prawdziwym dobroczyńcą nietylko dla niektórych wsi, ale nawet dla całych okolic — tylko przez to, iż nauczył włościan jakiegoś przemysłu, który im teraz zamożność daje.

Oto patrzmy na te monotonne łany podolskie — tem niedbalej uprawiane, im lepsza jest gleba! O ile większe mogłaby mieć dochody ociężała ludność tamtejsza, gdyby tam stało się ogólnym zwyczajem pasieki zakładać, sadzić drzewa owocowe w około mieszkań, po miedzach i przy drogach? Zdaje się, że nikt nie wątpi, ażeby to się nie opłacało — a przecież jakżeż mało stosunkowo takich, którzy pracują nad upowszechnieniem w naszym kraju pszczelnictwa i sadownictwa? Wprawdzie istniejące we wschodniej części kraju Towarzystwa pszczelniczo-sadownicze, dzięki gorliwości sprężystego zarządu swojego, rozwija się stosunkowo pomyślnie, lecz na dobrą sprawę nie 700 czy 800 lecz 80.000 powinno ono liczyć członków.

Jak doniosłe miałoby to znaczenie dla kraju nietylko pod względem ekonomicznym, ale nawet i pod względem społecznym, gdyby upowszechniło się pomiędzy włościanami naszymi wyrabianie miłych i zdrowych napojów z owoców lub miodu, aby niemi zastępywać stopniowo wódkę i to paskudne piwsko, jakie u nas zwyczajnie po karczmach wiejskich szynkowane bywa!

Wsie, znajdujące się w sąsiedztwie miast ludnych, ciągną znaczne dochody ze sprzedaży ogrodowin — pomimo, że włościanki nasze mają zwykle na swoich grządkach tylko najzwyczajniejsze gatunki warzywa. Kosztowniejsze gatunki uprawi. ją ogrodnicy, albo sprowadzają je handle korzenne z zagranicy. A przecież — czy oprócz marchwi i pietruszki nie potrafiliby nasi włościanie hodować szparagów, karafiołów i t. p. kosztowniejszych jarzyn — gdyby był ktoś, co zechciałby ich nauczyć sposobów uprawy tych roślin...

W korzennych sklepach pojawił się od niedawna artykuł pod nazwą „francuska jarzyna“. Kilogram tego towaru kosztuje przeszło guldena. A cóż to jest? Oto nic innego, jak tylko maszyną drobniutko usiekane i ususzone na wolnem powietrzu ogrodowiny takie same, jakie i u nas znajdują się: marchew, pietruszka z zieleniną, salery i t. d. Dla wojsk i miast portowych, na prowiant dla okrętów, muszą odchodzić zapewne olbrzymie ilości tej „francuskiej jarzyny“. Niestety i nasz kraj „rolniczy“ sprowadza jej pewną ilość.

Prezes lwowskiego Towarzystwa pszczelniczo-sadowniczego prof. dr. Ciesielski, zrobił doświadczenie, że z bardzo znacznym zyskiem można sprzedawać hurtowniczym firmom zagranicznym, trudniącym się handlem nasion, takie gatunki nasion, które i u nas każdy porządniejszy gospodarz sam zazwyczaj produkuje sobie, jak np nasiona buraków (szczególniej pastewnych), traw, cebuli i td. Albo jakież to zyski mogłyby ciągnąć osady położone w bujnej glebie z uprawy anyżu i kminu! Chmiel, wymagający wiele robocizny, także powinien być (jak w Czechach lub w Bawaryi) przeważnie na rustykalnych gruntach uprawiany.

Korzyści, jakie kraj nasz może odnieść przez upowszechnienie racyonalnej metody uprawy i wyprawy lnu, zyskały już uznanie ogółu, mamy już bowiem w Gródku fachową szkołę wyprawy lnu na sposób belgijski. Zarząd rudeńsko-gródeckiej filii gal. Towarzystwa gospodarczego wiele pracy łoży na to, ażeby przyuczyć włościan racyonalnej metody uprawy i wyprawy lnu, a skutek dość pomyślny wieńczy te szlachetne usiłowania. Dość nadmienić, że gdy np. cetnar rudych, szorstkich i poprzepalanych kłaków lnianych, przynoszonych zazwyczaj przez włościanki nasze na targi, płaci się w handlu zaledwie po 20—25 złr. to ta sama ilość umiejętnie wyprawionej przędzy warta 50—70 złr.

Albożż weźmy chów drobiu, ile to na tem polu jest jeszcze do zrobienia pomiędzy ludem! Osobne towarzystwa powinny u nas organizować się w tym celu, ażeby naprzód co do ilości, a powtóre co do jakości gatunków podnieść w kraju chów drobiu. Francya ma 400 milionów rocznego dochodu z drobiu; sąsiedni Szlązk, Morawia, a szczególniej Czechy miliony pobierają corocznie za młode kurczęta, drób tuczony, kapłony, bażanty, jaja, pierze, wyroby z piór i t. d. I z Galicyi wywozi kolej Karola Ludwika dość znaczną ilość jaj, ale te jaja, zwane przez handlarzy tym artykułem: „schlechte polnische Waare“ idą tylko do fabryk albuminu. Olbrzymie ilości jaj, jakie konsumują Anglicy, pobierają oni z innych krajów, nie z Polski.

Zarybianie bezużytecznie płynących wód

gminnych, czy mało przysporzyłoby gospodarstwu krajowemu korzyści?

Uprawa wikliny koszykarskiej, która w niektórych okolicach Francyi i Niemiec, położonych na płaskich brzegach rzek, stanowi źródło bogactwa dla tamtejszej ludności, i u nas mogłaby wspomódz nie mało wsi nad rzekami położonych, niszczonych co parę lat wylewami.

Wyrabianie przysmaków domowych na handel, w każdym innym kraju rozwinięte jest znacznie. Znane to przysłowie: „Święci garnków nie lepią“. Wybornie można je zastosować do tych kosztownych przypraw, które w handlach naszych płacimy drogo, a które są tylko płodem skrzętnej gospodarności włościan zagranicznych. Czy nasi włościanie mało mogliby produkować soku malinowego, owoców suszonych, konserwów owocowych w cukrze, marynat, półgąsków, wędlin i tp. wyrobów, jeżeliby było komu nauczyć ich tego, i wskazać drogi odbytu.

W okolicach Żurawna i na połoninach karpackich wypasają się u nas co roku wielkie stada wołów. Ale znaczną ilość chudego towaru sprowadzać potrzeba z Węgier lub z Wołoszczyzny, gdyż u nas za mało produkuje się przychowku własnego, gdyż za mało jest stosunkowo krów. Czemuż w Karpatach naszych nie mogłoby zakwitnąć podobne gospodarstwo nabiałowe jak w alpejskich krajach: w Styryi, Tyrolu i Szwajcaryi? Czy tamtejsi włościanie z lepszej są ulepieni gliny, niż nasi? Jeżeli oni — kiedyś tam nauczyli się rozumnej hodowli bydła, tudzież fabrykacyi serów kosztownych, czemużby i nasz chłop nie mógł nauczyć się czegoś podobnego?

Hej, hej panowie, którzy rozprawiacie o oświacie ludowej, zastanówcie się, ile to pracy mieści się w tem jednem tylko pojęciu: „Pielęgnowanie przemysłu rolniczego!“...

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W Rabsztyńcach działy się dziwy... ale mało kto mógł o nich wiedzieć bliżej, bo państwo Jaksowie z nikim stosunków nie mieli w sąsiedztwie. Rzadko na rannych mszach widywano ich w kościele. Postrzegali ciekawi, że Iwo odmłodniał, i że choć powierzchowność miał bardzo ubogą, jednak staranniejszą niż przedtem. Pani Spytkowa, która niegdyś poszóstnie przyjeżdżała z rękodajnymi dworzanami do parafii, teraz z mężem, jak prosta szlachcianka. Ale w tej sukni ubogiej jeszcze była królową, tak niosła głowę wysoko. Ludzie mimo woli rozstępowali się przed nią... a czapki same się przed tym majestatem niewieścim chyliły.

Jeden tylko człowiek, gdy mu się z Jaksami spotykać przyszło, wciskał się w tłum, aby ich wejrzenia uniknąć i nie truć się tym widokiem; był nim bogobojny i spokój miłujący p. Nikodem Repeszko, który nigdy kasztelanicowi darować tego nie mógł, że nie dopuścił, aby całe Mielsztyńce połknął i rzucił mu tylko, jak naówczas mówił, odcięte skoki...

Temu czci najgodniejszemu Repeszce jakoś w Lubelskiem w ogóle się nie powodziło. Między ludźmi nie miał miru, u duchowieństwa, choć pobożny, nie dorobił się wielkiego zachowania, a w sąsiedztwie niewiedzieć zkąd rozeszła się nań potwarz, iż był chciwym i niebezpiecznym, tak że choć ze słodkimi wyrazy na ustach przybywał, wszędzie go okrutnym zbywano chłodem.

Co dziwniejsza, nikt u niego pieniędzy pożyczyć nie chciał, nikt pomocy jego w ciężkim razie nie wezwał, choć się z nią serdecznie napraszał, nikt w żaden inteses wchodzić z nim nie życzył. To mu życie zatruło; sechł biedny, nędzniał, modlitwą się publiczną pocieszał, krzepił, okazując jawnie w jak dobrych z panem Bogiem jest w stosunkach, ale koniec z końcem chudł, mizerniał, i dostawszy jakiegoś defektu na wątrobie, mimo lekarzy, którzy mu różne cudowne zapisywali medykamenta, oddał ducha niewiadomo komu, a majątek dalekim krewnym. Zapewniano, że przybyli po dziedzictwo w kurpiach, czytać i pisać nie umiejąc... ale to być musiały potwarze.

Czas leci. W r. 1790, a zatem nierychło po opisanych wyżej wypadkach, Mielsztyńce, któreśmy widzieli tak troskliwie od wieków zachowane ze wszystkiemi pamiątkami dawnemi, znacznie się zmieniły. Eugeniusz Spytek z podróży swej za granicę dotąd był nie powrócił. Różne o nim obiegały wieści; mówiono, że był chory, że nabył nałogu szukania coraz nowych miejsc i wrażeń. Niekiedy przychodził suchy i krótki list od niego do rządcy Mielsztyniec, czasem od towarzysza podróży tylko, posyłano mu pieniądze przez bankierów, które wystarczały w ogóle i nie obciążały majątku długami. Niekiedy obiecywał swój powrót do domu, potem znów pobyt się jego przeciągał. Z daty listów dowiadywano się tylko, że bawił we Włoszech, w Rzymie, w Hiszpanii, w Sycylii, Malcie, na Wschodzie. Nikt dobrze nie wiedział, jakie właściwie powody trzymały go za granicą... a choć Mielsztyńce, rzucone tak na obce ręce, trafiały szczęściem na dosyć uczciwych ludzi, którzy nie zapominając o sobie, pamiętali i o nich trochę i o panu oddalonym, powoli jednak piękne zamczysko pustoszało. Ludzie, co go strzegli, wymierali z kolei; następowali młodsi, mniej do tych murów przywiązani, obojętniejsi na ich losy. Czasy wreszcie same z trudnością dozwalały zachować zamek w takim, w jakim wprzód był stanie. Wojna ze swą wrzawą i zniszczeniem nielitościwem prześlizgnęła się też tędy.

Ktoby teraz zamek zobaczył, z trudnością by poznał choć milczącą, ale świetną rezydencyą z dawnych wieków. Przyszła ta ruina nie nagle, nie gwałtownie, ale niedostrzeżenie, a dla tych, co patrzyli codzień na ten upadek powolny, był on prawie niewidocznym. Skoro się duch i ręka człowieka usunie od jego dzieła, które jest zdobyczą nad siłą bezduszną materyi, innym posłusznej prawom, natychmiast rozpoczyna się jej praca około wywrócenia tego, co człowiek zbudował. Powietrze, ziemia, rośliny, żyjątka, wszystko w przymierzu z tą siłą milczącą zmaga się na pożarcie niestrzeżonego gmachu. Wiatr usłużny przynosi nasiona, muchy je na skrzydłach dźwigają, deszcz wlewa zarody stworzeń uspione przez wieki, a mające się rozbudzić jednym słońca promieniem, nawet ożywcze ciepło, które budzi z martwych, tu rozkłada, rozprasza, wysusza, spopiela. A ptacy niebiescy weselą się, gnieżdżąc po gzymsach rozpadłych...

Teraz podwórzec już sam zapowiadał pustkę wewnętrzną. Rosły na nim bujniejsze z każdym rokiem trawy i zielska pomiędzy kamiennemi płyty, które mchy i porosty okrywały aksamitnym całunem. Gdzieniegdzie na samych murach powiewały już zielone gałązki brzózek i krzewów, których ziarna zaniósł tam ptak na dzióbie. Korzonki ich czepiały się szpar niedostrzeżonych i siłą życia maleńką a nieustanną zmieniały je w szczerby, w rysy, w rozpadliny, które wiatr ziemią i nasionami traw zasypywał. Niemi wciskały się krople wody i sączyły powoli, przejmując mury do głębi.

Przez ową arkadę wchodową już nie ogród bujny a czysty, ale jakby las zdziczały widać było, a na ścieżkach tę pleśń zieloną, wilgotną, która po pustkach się ściele. Chmiele dzikie poplątały się na gałęziach lip i klonów starych, które schły zwolna w ich uściskach. Na sadzawkach, dawniej czystych, tataraki i zielone rzęsy wodnych porostów puszczały. Gdzieniegdzie obłamana wiatrem gałęź gniła na pół w wodzie, co po niej czepiały się już drobne ziółka, które trupem tym się karmiły. Przeszłorocznych liści niezdjętych warstwa słała gniazda robactwu, które sobie podziemne w jej ciepłych puchach budowało domy. Po nad tem wszystkiem cisza grobowa, a z gniazd czapli i bocianów jakby krzyki czasem tylko odzywały się strażnicze...

Ale niczem było to opuszczenie ogrodu przy zamkowej ruinie. Tu i owdzie okna były powybijane i zasłonięte na prędce deskami, gdzieniegdzie zaklejono papierem, zatkano słomą. Przez poniszczone dachy woda dostawała się do wnętrza i długiemi smugami pomalowała ściany, których tynk oblatywał kawałami i leżał gruzem na posadzkach. Wojna pozostawiła po sobie też ślady; wiele z dawnych zasobów pochowano, a wiele w zawierusze zginęło. Starano się niby utrzymać pokoje w stanie mieszkalnym, ale liczba ich coraz, dla zmniejszenia kosztów służby, uszczuplała się, sale zmieniały w składy, okiennice cały rok zostawały zamknięte, myszy i szczury odwiedzały pustkę, a nietoperze wlatywały oknami potłuczonemi i gnieździły się po ciemnych kątach. Wspaniałe niegdyś sale poznać już było trudno... ledwie rzadko gdzie sprzęt jaki w miejscu pozostał, a ten pewnie najmniej wart był zachowania. Droższe rzeczy ocalone, tuliły się w kilku jeszcze porządniejszych pokojach. Starzy ludzie, pamiętający świetniejsze czasy, z kolei poszli do grobu, młodsi nie widzieli potrzeby wielkiej pilności nad bezpańską pustką, która nikogo nie obchodziła. I tak zwolna Mielsztyńce stały się niemal tem, czem rabsztynieckie były ruiny, gdyśmy je po raz pierwszy widzieli. Widma i duchy rozgościły się w nich teraz na dobre, a powieści o upiorach i strachach, o białej niewieście z pręgą krwawą, codzień przechadzającej się po salach pustych, o rycerzu żelaznym z trupią głową w ręku, a mieczem w drugiej, powtarzały się co wieczora we dworze. Zaledwie padł mrok, nikt się już do murów zbliżać nie chciał. Pozostało tylko jedno skrzydło mieszkalne, gdzie się reszta służby coraz ubywającej mieściła, nieźle utrzy-

mywana kaplica i pokoje pana rządcy, który pozostałościami sprzętów wspaniałych bardzo się wygodnie i wytwornie nawet umeblował. W pokoju pana Spytka starano się jak najdłużej utrzymać wszystko jak było; ale czasu wojny odbity był i przetrząśnięty, wiele rzeczy z miejsca ruszono, inne poznikały. I tu więc nieład panował. Zostawiono go umyślnie, aby świadczył, że nie brakiem dozoru, ale napaścią i wypadkiem obaliły się zabytki mielsztynieckie.

Tak wyglądało stare zamczysko, gdy jednego wieczora w październiku dano niespodzianie znać rządcy, że dwa powozy obładowane zbliżają się aleją lipową od miasteczka ku dworowi. Ponieważ Eugeniusz Spytek wcale o swym powrocie znać nie dawał, nikt się domyślić nie mógł, jaki to gość przybywał. Rządca, pan Feder, człek zamożny i skoligacony w sąsiedztwie, który się już tu niemal za dziedzica uważał, a miał familią bogatą, sądził zrazu, że ktoś z krewnych jego żony przyjeżdża mu w gościnę. Powozy zaprzężone końmi pocztowemi zatrzymały się przed gankiem zamkowym, ale tędy teraz wnijścia na górę nie było. Ponieważ różne stworzenia pasały się na dziedzińcu, zastrzegając od inwazyi wschody, zrobiono prostą z chrustu bramę zabitą na głucho, a nawet drzwi w górze w poprzek były założone kilką dylami, bo już niemi nikt nie chodził. Wysiadający więc z powozów zdumieli się, gdy zamiast u wnijścia do zamku, znaleźli się przed rodzajem barykady.

Dwóch mężczyzn stało na progu niedostępnym, gdy ostrzeżony rządca, człek młody, przystojny i bardzo miły towarzysz, nadbiegł, aby bliżej zbadać, kto tak poufale do jego zamku się dobywał. Jeden z nich, w zielonej szubce aksamitnej, podbitej lekkiem futerkiem, był bardzo małego wzrostu, i zdawał się schorzały. Twarz miał woskowej bladości, oczy zagasłe, usta prawie białe, policzki wpadłe, a choć młody jeszcze, podpierał się na ręku towarzysza, mężczyzny silnej, zdrowej budowy i śmiałego, pełnego wyrazu oblicza. Tym chorym, jak się łatwo domyślić, był Eugeniusz Spytek, kawaler złotej ostrogi, hrabia pałacu rzymskiego (świeżo przez papieża mianowany), niegdyś wesołe chłopię śmiejące się przyszłości, dziś kaszlący, dogorywający niemal cień człowieka. Większego w tej chwili osłabienia przyczyną było wzruszenie i gniew, który się na jego czole pofałdowanem i w oczach zaognionych malował. Spodziewał się on zastać Mielsztyńce jak je porzucił; nie donoszono mu wcale o ich zniszczeniu. Rządca dość znaczne sumy liczył na utrzymanie zamku, a biedny wędrowiec, zdumiony, ten skarb swój, zdany na ręce płatne, znajdował okrutną ruiną. Serce mu się rozdzierało, ale gniew i oburzenie miotało nim takie, że z drżących warg wyraz się dobyć nie mógł. Towarzysz go nadaremnie usiłował uspokoić i złagodzić.

Pan Feder, który szedł w najlepszym humorze na spotkanie gości, zmięszał się widocznie jakby piorunem rażony. Ze wszech miar była to niespodzianka groźna dlań, niemiła. Eugeniusz byłby może wybuchnął natychmiast, tak go stan jego gniazda oburzył, ale towarzysz, lękając się o zdrowie jego, uprosił aby zamilkł, sam śpiesząc naprzeciw pana Federa.

— Hrabia Spytek — rzekł — jest chory. Widok zamku w takim stanie, w takiem opuszczeniu i ruinie, gdy się go spodziewał znaleźć utrzymanym starannie, może wpłynąć na jego zdrowie. Na miłość Boga, gdzie są pokoje mieszkalne, gdziebyśmy wejść mogli i zastać dawny porządek?... Mów pan prędzej.

— Ale tu była wojna... Tu stało wojsko — podchwycił rządca — jam temu nic nie winien. W całym zamku nie ma nic porządnego i mieszkalnego, oprócz tych pokojów, które my z familią zajmujemy... Dlaczegoż hrabia nie kazał nas uprzedzić?...

— Prowadź nas waćpan gdzie chcesz, bo hrabia ciężko zasłabnąć może, podlega atakom, a ten gniew...

Feder stracił głowę.

— Więc proszę do mnie — rzekł.

— Jakto do waćpana? — oburzył się Zaranek. — Tu panem jest hrabia, a waćpan gościem, który jutro zda rachunek ze swych czynności i pobytu.

Eugeniusz wstrzymywał się widocznie.

Feder, już nie witając go, poleciał przodem, aby rodzinę swą wyrugować i mieszkanie oczyścić. Przybyli pozostali przed wschodami. Wieczór nadchodził szybko. Wśród mroku hrabia ciekawemi wodził oczyma po murach, a każda w nich szczerba nowym go napełniała gniewem.

Uczucie to naturalnie zwiększyło się jeszcze, gdy weszli po chwili do bardzo wytwornie urządzonych apartamentów rządcy, w których łatwo poznać było na jego użytek obrócone najpiękniejsze i najdroższe sprzęty, wybrane z sal zamkowych.

Nieme te świadki przeszłej Spytków zamożności, dziś cale nowej nabierały fizyognomii, zastosowane do innego życia, przywłaszczone przez maleńkich ludzi, którzy ich ani użyć, ani ocenić nie umieli. Uderzyło to Eugeniusza, jak profanacya. Ściany pana rządcy zdobiły pomięszane wizerunki jego rodziny i Spytków; sama jejmość używała matki jego krosien i przyrządów; książki z biblioteki służyły dzieciom za zabawki i walały się po ziemi.

Eugeniusz siadł i zadumał się, prawie do łez smutny. Co tu pomódz mógł gniew próżny i zemsta na niewiernym człowieku, który położoną w nim wiarę zawiódł? Co się stało, było nieodwołalne...

Gdy po chwili pan Feder pokornie ukazał się na progu, Spytek wstał i już z zimniejszą krwią rzekł mu:

— W takim stanie zastałem moje ojczyste gniazdo, powierzone wam, że o nic więcej, po świadectwie mych oczów, pytać nie potrzebuję. Jutro zdasz waćpan rachunki panu Zarankowi i wyniesiesz mi się ztąd precz.

— Alej w. panie, ja mogę się wytłumaczyć.

— Nie wątpię, ale ja nie mogę słuchać tłumaczeń...

— Mój honor...

— Idź waćpan precz! — zawołał Eugeniusz — i nie pokazuj mi się więcej na oczy. Ja żadnych wymówek nie przyjmuję.

Pan Feder, który miał szlacheckie koligacye i nabrał był dumy szlacheckiej, chciał burczyć i opierać się; ale Zaranek pokazał mu drzwi rozkazująco i wyprawił go natychmiast...

Próbowano jeszcze tego wieczora instancyi pani Federowej, a nazajutrz rano teścia pana Federa podczaszego Wolnickiego, ale tych nawet Spytek do siebie nie dopuścił. Rachunki i kasę odebrać kazał, a rządcę nazajutrz oddalił.

Zrodziło to proces, jak się domyślić łatwo, ale Spytek mniej dbał o to...

(Dok. nast.)

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ
(wiek XVIII.)

przez

Dr. Juliana Ochorowicza.

I.
Filozofia kościelna.

(*Dokończenie.*)

„Dziś przyroda mniej silna, ale za to wszystko szybciej się rozwija i ludzie prędzej dojrzewając, krócej też żyją. Z chorych rodziców rodzą się skarłałe i chorowite dzieci i bodaj, czy coraz mniejsze nie będą. Znak to jest niejaki tego, że teraz już dzieci prawie z rozumem się rodzą."

Autor zatrzymuje się jeszcze dłużej nad historyą Noego, opisuje jego korab i zwierzęta w nim zawarte, „których było rodzajów 150, oprócz tych, które się *ex patri materia* rodzą, jako są niektóre gadziny i tych, które się z dwojakiego rodzaju płodzą, jako muły, *osły* (!) itp. takich zaś, które się po ziemi czołgają rachuje Pereryjusz rodzajów 25; wszystkich tedy gieneralnie rodzajów 175. Po tem wyliczeniu autor piorunuje na niedowiarstwo spółczesnych, których tylko 8 osób z Noem do arki się schroniło.

„W r. 1536 (mówi on), rozesłał 72 swoich domowych Noe od Boga naznaczonych po całym świecie, gdzie się tylko mogli znajdować ludzie, dla opowiadania przyszłego potopu, ażeby się poprawili w złem życiu swojem... i ci byli najpierwsi *Ewangelizantes* czyli kaznodzieje, którym się nie powiodła ta apostolska praca, ponieważ ludzie natrząsali się z nich jako z kuglarzów. To jednak w niektórych sprawili, że gdy r. 1656 postrzegli niezwyczajne wody wzbierające, i już ich domowstwa z niemi zalewające, przypomnieli sobie, że to nie bajka, co od stu lat kaznodzieje przepowiedzieli, i tak topiąc się we łzach pokutnych razem i w potopie znaleźli odpuszczenie grzechów swoich i kary wiecznej, ale nie doczesnej, bo wszyscy jednak potonęli."

Miało się to dziać jak widzimy w 1656 r., a jak twierdzą niektórzy na podstawie tekstu hebrajskiego dnia 2go grudnia, od stworzenia świata! Kto czytał artykuł Drapera drukowany w *Niwie* pt. „Spór o wiek ziemi", potrafi ocenić wiarogodność tej chronologii.

Wszystko to co przytoczyłem, zajmuje zaledwie jednę księgę dzieła (wszystkich jest 5), reszta zajęta jest opisami historycznemi i etnograficznemi, w których autor częścią powtarza nie cytując opowieści Kadłubka, Długosza i Miechowity, Jana Botera Benezyjusza („Teatrum Świata" 1609), częścią przepisuje również niecytując Antoniego Guevara („Zegar Monarchów" na rok przedtem wydany — 1762), albo też bierze z innych wspólnych im źródeł, często w owych czasach wyzyskiwanych. Te wszystkie historyczne rozdziały, przepełnione obok faktów istotnych przeróżnemi niedorzecznościami, pomijam tutaj, jako nas nie obchodzące i zastanowię się obszerniej jedynie nad ciekawym rozdziałem, który nosi napis:

Jaka jest świata tego machina?

*

„Cała ziemi Machina według Matematyków zdania, jest okrągława, podługowata na kształt figury jaja kurzego, która jest zawieszona na morskich wodach, jest jedną wyspą(!) różnemi kanałami morskiemi podzieloną. Morza zaś, które in *aequilibro* trzymają ziemię, same są wsparte powietrzem, powietrze zaś jest wsparte od ogniów niebieskich, które są nad kondygnacyą powietrza; ognie są obtoczone sferą miesiąca, potem sferą Merkuryusza, wyżej sfera Venusa, nad tą sfera słońca, według nauki Tychona“ (de Brache) „i innych Matematyków, aż do Firmamentu.“

„Według Tychona, cała ziemi machina niewzruszona stoi, około się której codziennie w godzin 24 Słońce obraca.“

„Według zaś Kopernika słońce stoi, a ziemia jako mniejsza obraca się z ludźmi, górami i strukturami tak lekko, że ani słyszemy. Naśladowcy Kopernika między inszemi racyami mają i tę zdania swego z kuchni przyczynę, mówiąc że słońce jest szczerym ogniem, a jako widziemy, że nie ogień obraca się około pieczeni, ale pieczenia około ognia, tak na podobieństwo nie słońce ogniste około ziemi, ale ziemia około słońca obracać się powinna jak na rożnie jakim na osi,“ (autor nie zna lepszego dowodu na poparcie Kopernika!) „ale to Koperników zdanie jest przeciwko doświadczeniu, a nawet i Pismo św., które mówi: Jozue 10, V. 12..... i dalej V. 13....: „stanęło słońce (na rozkaz Jozuego) w pośrodku Nieba i nie pospieszyło się do zachodu; przez czas jednego dnia.“ I możesz być jaśniejszy(!) dowód, że się słońce, nie ziemia, obraca? Na ten fundament Pisma św. odpowiadają Kopernicy: że Jozue nie był Matematyk, dla tego mówił do słońca według pospolitej mowy.“

Na to nasz autor tak odpowiada:

„Jeżeli Jozue nie był Matematykiem (o czem nie wiemy, bo w Egipcie był wychowany, gdzie były nauki o Matematyce), to przynajmniej Mędrzec musiał umieć Matematykę, a przecie Eules. Cap. 1. mówi: Wschodzi słońce i zachodzi, i na swoje miejsce znowu się wraca, *et ad locum suum revertitur.*“

Dziwi mnie, że ks. Pikulski nie przytoczył innego jeszcze ustępu, któryby go lepiej poparł. Powiedziano tam najwyraźniej, że ziemia jest nieruchomą: „Ugruntowałeś ziemię na słupach jej tak, że się nie poruszy po wieki wiecznie.“ Psalm CIV, 5.

Ale słuchajmy dalej. Jak zwykle bowiem, tak i tutaj autor, rozstrzygnąwszy spór z Biblią w ręku, dowodzi jeszcze świeckimi argumentami w sposób nieporównany:

„Co zaś należy do codziennego doświadczenia, tak tego dowodzę: Gdyby się ziemia z nami obracała, alboby się obracała na wschód albo na zachód. Jeżeli na zachód? tobyśmy słońce mieli podczas zachodu na wschodzie, co jest przeciwko doświadczeniu. Jeżeli na wschód? tobyśmy się z ziemią obracali, jako mówić powinni Kopernicy, i takbyśmy zawsze wiatr mieli zachodni, byby się powietrze razem z ziemią obracało od zachodu na wschód.“ Więc wiatr miałby być dla tego, żeby się powietrze wraz z ziemią obracało!

„Nadto — ciągnie nasz filozof dalej — gdyby się ziemia obracała, czyli to na wschód, czyli na zachód, jako cała pływa na morzu, takby się oczywiście pokazały boki wilgotne wychodzące z morza, czego żaden nie widział.“

Autor nie przypuszcza nawet, ażeby można sobie wyobrazić ziemię, jako kulę utrzymywaną w przestrzeni siłą powszechnego ciążenia i ciągle ją widzi pływającą na morzu. Wynikają ztąd coraz to zabawniejsze argumentacye:

„Jeżeli mi Kopernicy odpowiedzą: że z ziemią razem i morza się obracają: na to im odpowiadam: toć z morzami i powietrze, bo jako ziemia jest wsparta morzem, tak i morze powietrzem, i takbyśmy zawsze mieli wiatr jednakowy razem z ziemią od wschodu do zachodu, albo też od zachodu do wschodu, według obrotów ziemi.“

„Przytem gdyby słońce stało, szłoby zatem, żeby się i miesiąc nie obracał“ (dla autora słońce i księżyc są związane ze sobą jako dwie latarnie, którym kazano „świat“ tj. ziemię oświecać), „a jakżebyśmy pełnię i nów mieli? zawszeby nam się jak słońce tak i miesiąc w jednakiej odległości pokazywały; co jest przeciwko doświadczeniu.“

Co zaś do argumentu na mniejszości ziemi opartego, tak mówi:

„Pozwalam, że słońce jest większe od ziemi; ale mi kopernik“ (przez małe *k*) „przyznać musi, że jest, ile ognistej materyi nierównie leksze od ziemi, któremu jako ogniowi wrodzona jest rzecz wieszać się jako widziemy w płomieniu.“

Nie chce więc autor w żaden sposób zgodzić się z Kopernikiem i wykłada dalej o obrotach słońca według starej metody. Objaśnia, dla czego w jednych krajach zimniej, w drugich goręcej, dla czego dnie i noce niejednakowej zawsze długości i wreszcie tłumaczy „jak się piorun robi.“

„W południowych (państwach) i bezchmurnych, biją (pioruny) bez grzmotów z jasnego Nieba, a to dla tego: że piorun tym się sposobem robi: Na powietrzu słońce przez swoje ciepło ciągnie z ziemi tłustość, saletrę i proch, (które przez szpary ścian dają się widzieć), gdy te materye saletrzane i siarczyste wyniosą się aż na trzecią kondygnacyą powietrza dla wielkiego ognia, który jest pod Firmamentem, bywają spieczone i sklejone w jeden kamyk, który jak się zajmie, dla siarki i saletry rozpalonej, biega po powietrzu, różnem wykręceniem i szybkim lotem; jeżeli padnie na chmurę wodnistą, grzmi w niej właśnie jak kamień rozpalony wrzucony w wodę; i póty po powietrzu lata, a czasem i na dół pada, póki się w niem nie spali materya siarczysta i saletra, tak właśnie jak szmermel z prochu...“

Po tych wszystkich wstępnych wywodach przystępuje do opisu czterech części świata, (o piątej nie słyszał jeszcze) i do szczegółowej historyi narodów. Jak strasznie ciemnota panować musiała wówczas nawet między oświeceńszymi przedstawicielami popularnej kosmogonii, nieznającej jeszcze kulistości ziemi, nieznającej systemu Kopernika — świadczą o tem najlepiej szczegóły etnograficzne, które autor o różnych ludach w najlepszej wierze podaje. Czytamy tam np. w Roz IV. „Jakiej są figury ludzie w Azyi i Afryce?“

„I. W Indyi nazywają się ludzie *Cenocephali*, którzy całe ciało mają ludzkie, głowę zaś jak u psa...“

„II. W Eurypii znajdują się ludzie, ciało ludzkie mający, szyję zaś ptaka żórawia tak długą, że stojąc do ziemi nią dostać mogą... miast gęby mają żórawi dziób, dla którego mówić nie mogą, ale tylko piszczą; mózg zaś że mają ludzki, więc i pojęcie większe od bestyj...“

„V. Na wschodnich wyspach znajdowali się ludzie bez głowy i bez karku; oczy zaś mieli na piersiach, nos trochę niżej, pod oczyma usta przy samym żołądku...“

„VII. W Scythyi czyli Tatarach wschodnich bywali ludzie, tak wielkie uszy mające, że niemi całe ciało z tej i owej strony nakrywać mogli, Paunotami nazwani.

Dalej przytacza opisy ludzi, którzy zamiast ust mają tylko maleńką dziurkę i mogą tylko płynne pokarmy przez słomiane źdźbło wciągać, inni w Afryce są tylko o jednej nodze, ale ogromnej, inni o czterech oczach, inni żyjący w wodzie rybami i cali obrośnięci, a niewiasty ich mają brody do pasa, na głowie zaś są łyse. W murzyńskiej ziemi wreszcie żyją Atrabici, „którzy jak bydlęta schyleni na nogach i rękach chodzą“ itd.

Wszystko to pisze autor, który z takim zapałem dowodził, że Pan Bóg dla tego stworzył człowieka z gliny, nie zaś z *niczego*, ażeby go od zwierząt odróżnić! Autor jest nadto tyle naiwnym, że przewidując pewne niedowierzanie czytelnika, tak się przeciw niemu zastrzega: „Żeby się komu nie zdała bajka w opisaniu niżej Monstrów natury ludzkiej... nasamprzód umyśliłem położyć Auktorów, którzy o tych monstrach ludzkich piszą; naprzód pisał Plinius lib. 7 Cap. 2. Św. Augustyn lib. 16 de Civit. Dei Cap. 8. Św. Izydor Elhimol: lib. 11 Cap. 10 i insi Auktorowie, którzy o Indyach pisali.“

Jeżeli takie książki aprobowała władza duchowna, składając je na ołtarzu Wiary — to cóż dziwnego, że w umysłach rewolucyjnych powstało marzenie o jakimś nowym kościele, w którymby *Rozum* królował?

Julian Ochorowicz.

WIARA W DUCHY

ZA NASZYCH CZASOW

napisał

B. Kiewlicz.

(Ciąg dalszy.)

Z pomiędzy wszystkich adeptów spirytyzmu najwięcej do jego rozpowszechnienia w Anglii przyczynił się już kilka razy wspomniany William Crookes. Uczony ten ma tam taką sławę, i rzeczywiście zasłużoną, znakomitego eksperymentatora, że skoro ogłosił swe sprawozdania o zjawiskach, których był świadkiem, powiedziano sobie powszechnie: w tem jednak musi coś być prawdziwego. A rzecz dziwna, uczony ten odkrywca pierwiastku talu i radiometru, opisuje także nadprzyrodzone rzeczy, że się wydaje nam, czytając jego opisy, jakbyśmy mieli znowu z obłąkanym do czynienia.

Pozwalamy sobie podać dla przykładu jeden ustęp z artykułu tego autora umieszczony w *Quarterly Refiew of Sciences*, opisujący dziwne zjawiska, których jak powiada był świadkiem.

„Miss Kate Fox (słynne medium) obiecało (powiada Crookes) urządzić u mnie w domu, jednego z wiosennych wieczorów posiedzenie. Gdym na nią oczekiwał, była u mnie kuzynka w domu i dwaj moi najstarsi synowie lat 11 i 14. Siedzieli wszyscy w jadalnym pokoju, gdzie się zwykle odbywały posiedzenia; ja coś pisałem w mojej pracowni. Gdym usłyszał, że dorożka zajechała i gdy zadzwoniono, otworzyłem sam drzwi i wprowadziłem miss Fox do jadalni. Położyła ona swój kapelusz i szal na stole, ja zaś

kazałem chłopcom wyjść z pokoju i udać się do mojej pracowni, żeby tam dalej pracowali nad lekcyami; zamknąłem drzwi za nimi na klucz i schowałem do kieszeni, co zwykle czyniłem przy tego rodzaju posiedzeniach. Usiedliśmy; miss Katy Fox po prawej a kuzynka po lewej ręce odemnie. Wnet usłyszeliśmy pukanie i otrzymaliśmy alfabetyczną wiadomość (za pomocą umówionego alfabetu opartego na ilości pukań), że trzeba gaz zagasić. Siedzieliśmy w zupełnej ciemności, a ja trzymałem przez cały czas obie ręce miss Katy w jednej mojej. Prędko stół zaczął pukać i wystukał wiadomość, że: „idziemy coś przynieść, aby pokazać naszą siłę“, i zaraz potem usłyszeliśmy głos dzwonka i to nie na jednym punkcie, lecz w różnych miejscach pokoju, raz na ścianie, potem w odległym kącie, potem też nad moją głową, a potem znowu na podłodze. Gdy dzwonek tak przez pięć minut latał dzwoniąc po pokoju, upadł nareszcie na stolik tuż przy moich rękach.

Przez cały czas nikt się nie poruszał i ręce miss Fox były zupełnie spokojne. Zauważyłem, że to nie mógł być mój mały dzwonek, gdyż zostawiłem go u siebie w pracowni. (Na chwilę przedtem, zanim weszła miss Fox, potrzebowałem książki, która leżała w samym końcu moich półek. Dzwonek stał właśnie na tej książce i odstawiłem go na bok, aby wziąć książkę. Ten mały wypadek był przyczyną, żem pamiętał, iż dzwonek znajduje się w pracowni. Ponieważ gaz jasno świecił w pokojach, przed drzwiami prowadzącemi do jadalni, więc mógłbym był łatwo zauważyć najmniejsze otwarcie drzwi, gdyż światło wpadłoby do naszego pokoju. Usuwało to możliwość znajdowania się wspólnika miss Fox w moim domu i otwierania drzwi przez niego za pomocą podrobionego klucza.

Zapaliłem światło. Przedemną leżał mój własny dzwonek. Poszedłem wprost do pracowni. Przekonałem się naocznie, że nie było dzwonka tam, gdzie on być powinien. Powiedziałem do mego najstarszego syna: „czy wiesz, gdzie jest mój mały dzwonek?“ „Tak ojcze“ — odpowiedział — „tam leży,“ i pokazał na miejsce, gdziem go pozostawił. Popatrzał na to miejsce i mówił dalej: „Nie, tam go nie ma, lecz był tam przed chwilą.“ „Jakto, czy sądzisz, że ktoś wszedł i zabrał go?“ „Nie“ — odrzekł — „nikt nie wchodził; lecz jestem pewien, że tam leżał, gdyż skoro nas wysłałeś do tej pracowni, mój młodszy brat zaczął dzwonić, tak, że nie mogłem uczyć się lekcyi i zabroniłem mu tego“. Najmłodszy mój syn potwierdził to i powiedział, że dzwonek postawił na miejsce.

Drugi wypadek, o którym chcę opowiedzieć, zdarzył się w dzień biały w niedzielę popołudniu; obecnymi był Mr. Home (także jedno z najsłynniejszych mediów) i moja rodzina. Moja żona i ja przepędziliśmy rano na wsi i przynieśliśmy z sobą kwiaty, po drodze na polach zebrane. Gdyśmy wrócili do domu, oddałem kwiaty służącej z rozkazem, by je do wody wstawiła. Mr. Home przyszedł wkrótce potem, i zaraz poszliśmy do jadalni. Gdyśmy usiedli, wniosła służąca kwiaty, które były ustawione w małej wazie. Postawiłem je w środku stołu jadalnego, który był bez serwety. Kwiaty te ujrzał wtedy Mr. Home po raz pierwszy.

Pokazywało się kilka zwykłych zjawisk i następnie rozmawialiśmy o niektórych faktach, które dają się wytłumaczyć tylko za pomocą przejścia materyi przez materyą. Otrzymaliśmy na to odpowiedź za pomocą stolika, brzmiącą jak następuje: „Niepodobieństwem jest, aby materya przechodziła przez materyę, lecz chcemy wam pokazać, co umiemy“. Oczekiwaliśmy w milczeniu. Raptem ukazało się jakieś świetlane zjawisko zawieszone nad bukietem, i z bukietu, przed oczyma wszystkich obecnych, wysunęła się gałązka chińskiej trawy, długa na cali 15 z pomiędzy innych kwiatów, (tworzyła ona środek bukietu) i przechyliła się na stół pomiędzy wazą a panem Home. Jednak po dotknięciu do stołu nie zatrzymała się, lecz przeszła po jego powierzchni i wszyscyśmy mieli na nią zwróconą uwagę aż póki nie znikła. Wnet po zniknięciu trawy ujrzała moja żona, siedząca obok pana Home, rękę wychodzącą z pod stołu i trzymającą tę trawę. Ręka ta uderzyła dwa czy trzy razy po ramieniu z wyraźnie słyszanym odgłosem, nareszcie położyła trawę na podłodze i znikła. Tylko dwie osoby widziały rękę, lecz wszyscy widzieli poruszającą się trawę, tak jak to wyżej opisałem. Przez cały czas trwania tych zjawisk widzieli wszyscy ręce p. Home'a leżące spokojnie na stole. Miejsce, w którem trawa nikła, było odległe o 18 cali od rąk jego. Stół był zwykłym rozsuwalnym stołem jadalnym, otwieranym za pomocą śruby; nie było przy nim żadnej klapy, i obie połowy rozdzielone były po środku wązką szczelinką. Trawa przeszła właśnie przez tę szczelinkę, która miała zaledwie jedną ósmą część cala szerokości. Łodyga trawy była tak grubą, że nie można było jej przesunąć bez uszkodzenia; a jednak widzieliśmy wszyscy jak gładko przechodziła i po eksperymencie nie było znać na niej najmniejszego uszkodzenia“.

W tym duchu jest pisana cała rozprawa pana Crookesa i spotykamy się w niej z opisem najrozmaitszych faktów, nie podchodzących w żadnym razie pod znane nam prawe fizyczne. Opisuje on tam pukanie stołów, przedmioty i ludzi unoszących się w powietrzu, tajemnicze pisanie i cały szereg zjawisk tym podobnych, które systematycznie klasyfikuje, i stara się wytłumaczyć.

(C. d. n.)

CHYBIONE MAŁŻEŃSTWO.

Szkic z życia Irlandczyków w Ameryce.

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

(Dokończenie)

Tu stał właśnie wówczas Pat Nelligan, pochylony nad siecią, którą niby naprawiał. Zaniepokojony bowiem trochę swą wyprawą nocną, wysłał ze zdobyczą dwóch swych towarzyszów na targ do miasta, sam zaś od rana pozostawał niedaleko domku wdowy, aby się dowiedzieć, jak ona przyjmie wiadomość o rabunku.

Gdy Mistriss Wad spostrzegła swego zalotnika, zwróciła się ku niemu a przypadłszy blisko, porwała go za ramię, krzyknęła: — o, Pat! i zalała się łzami.

Pat był wtedy pewnym, iż cała rzecz wykrytą została i gotował odpowiedź usprawiedliwiającą; lecz po kilku wykrzyknikach, z jakimi wdowa w czasie rzewnego łkania dała się słyszeć, zrozumiał, iż to wcale nie na niego podejrzenie jej padło, odetchnąwszy zatem swobodniej, wypytywał o szczegóły tej według niego strasliwej zbrodni.

Mistriss Wad opowiedziała mu, ciągle płacząc, całą krzywdę, jaką poniosła i w końcu dodała:

— O Pat! gdybyś ty pilnował połowu raków, tak niesumiennie wykonywanego przez obcych ludzi, tobym może nie była codziennie okradaną.

Pat Nelligan, pomyślawszy trochę, osądził, iż chwila była przyjazną... i odrzekł:

— Gdybym miał nadzieję zostania czemś innem dla pani, jak tylko nieużytecznym sąsiadem, ręczę za to, iż nie dałbym nikomu w życiu wyrządzić pani krzywdy w jaki bądź sposób.

Oświadczenie to przyjęła wdowa, niejako odkładając na później, ale w istocie z uciechą w sercu, bo była w nim rozkochaną.

Idąc do domu, porozumieli się względem ślubu, który miał nastąpić za dwa miesiące, to jest po skończeniu żałoby. Tymczasem zaś Pat Nelligan zobowiązał się doglądać rybaków najmowanych przez Mistriss Wad, czyli przyrzekł jeździć z nimi wieczorem dla zastawiania sideł na raki, a ranną porą sprawdzać, jaki istotnie otrzymano połów.

Od tego dnia miał Pat wprawdzie ochotę poprzestać rabusiostwa nocnego, które popełniał dawniej z towarzyszami na krzywdę wdowy, lecz wiele okoliczności w tem mu przeszkadzało.

Najpierwej, jako narzeczonemu nie wypadało brać zapłaty za doglądanie rybaków, najmowanych przez wdowę, która myśląc, iż Pat zarabia na życie połowem ryb, nie śmiała mu ze swej strony wynagrodzenia ofiarować.

Powtóre, nie chciało mu się pracować, a nie miał z czego żyć do owego szczęśliwego dnia, w którym, pojąwszy wdówkę w małżeństwo, zostanie panem całego mająteczku Mistriss Wad.

Po trzecie, jego dwaj koledzy przyzwyczajeni do próżniactwa, nie chcieli wyrzec się zarobku, i namawiali Pat'a, aby do czasu jego żeniaczki razem z nimi podobny jak dotąd handel prowadził, przyrzekając, iż po ślubie, obmyślą sobie inny sposób do życia.

Z tych zatem wszystkich powodów musiał Pat rad nie rad odgrywać podwójną rolę, to jest z rybakami najmowanymi przez Mistriss Wad zastawiał sidła na raki, a w nocy ze swymi towarzyszami rabował połów w pewnej części, nazajutrz zaś tłómaczył się wdowie, wymyślając rozmaite wykręty dla usprawiedliwienia, że teraźniejsze połowy nie udawały się tak świetnie, jak za czasów nieboszczyka jej męża. Przyrzekał przytem jak najsolenniej, iż skoro się ożeni, będą one daleko korzystniejsze; bo do tego czasu wynajdzie lepsze miejsca i starać się będzie inaczej urządzić sidła, co z pewnością da w przyszłości obfitsze zyski.

Trwał ten stan rzeczy aż do wigilii dnia wyznaczonego na ślub. Wdowa cieszyła się myślą, że jak wejdzie w powtórne związki małżeńskie, interesa majątkowe się poprawią, bo będzie komu ich pilnować. Pat wyczekiwał niecierpliwie chwili, kiedy zostanie bogatym; lecz dwóch jego kolegów Jeny Green i Bill Slatery, krzywili się bardzo na tę zmianę, myśląc, że Pat nie pozwoli siebie już nadal krzywdzić, i że muszą wynaleźć inny trudniejszy sposób zarobkowania.

Pat Nelligan, dla złagodzenia trochę ich smutku, zamierzył im wydać ostatniego dnia przed ślubem ucztę, dla pożegnania życia kawalerskiego. Powiedział zatem swej przyszłej, iż czując się nieco zmęczonym, chce odpocząć, aby nazajutrz mógł być czerstwym i rzeźwym, a że Mistriss Wad krzątała się około przygotowań dla przy-

jęcia gości na ślub zaproszonych, rada była z tego oświadczenia Pat'a i zaraz po południu wyprawiła go z domu.

Około dziesiątej wieczorem, Mistriss Wad nieco zmęczona przygotowaniami na dzień uroczysty, usiadła na kanapie i zaczęła marzyć z otwartemi oczami o niedalekiem już szczęściu. Przyszło jej wówczas na myśl, iż Pat także spoczywając tę ostatnią noc w swej lepiance, pogrążony w głębokim śnie, marzy pewnie o połowie raków morskich. — Bo on, tak dla mnie przychylny — mówiła sobie — on co jeszcze przed kilku dniami pilnując moich rybaków, wpadł w wodę i przyszedł zupełnie zmoczony i bardzo zamyślony, zapewne o tem, jakby korzystniejszym i obfitszym połów raków uczynić, a przez to dochody powiększyć... Poczciwy mój Pat! prawdziwy z niego skarb, słusznie, aby za mozolną pracę podejmowaną dla mnie otrzymał nakoniec nagrodę! Przy jutrzejszym kontrakcie zapiszę mu połowę wszystkiego, co posiadam, bo wart jest tego.

Ucieszona tą myślą, nie chciała czekać do rana, aby mu ją oświadczyć, lecz zdecydowała się zaraz pójść go obudzić i tę dobrą nowinę dla niego mu zwiastować. Wszak na drugi dzień miała iść za niego, nie uważała zatem za nieprzyzwoitość oddać mu wizytę w jego lepiance. Przywoławszy dziewczynkę dwunastoletnią, którą od kilku dni miała dla pomocy w przygotowaniach do ślubu, kazała sobie towarzyszyć do niedaleko położonej lepianki Pat'a.

Tymczasem Pat ze swymi towarzyszami, biesiadował w swym glinianym pałacyku, w jakim ostatnią już noc spędzał, chcąc wydaną ucztą godnie go pożegnać. Na stole stała pełna miska napełniona ugotowanemi rakami morskimi (zabranymi nocy poprzedniej z sideł należących do Mistriss Wad), koło tego przysmaku pomieszczono drugą potrawę ulubioną przez Irlandczyków, to jest *stick* (pieczeń wołowa z części stykającej się z polędwicą) z kartoflami i kilka butelek z ginem (dżinem), wiskey (wódka z kukurudzy) i arakiem, (trzy napoje, bez których żadna uczta w Irlandyi odbyć się nie może).

Gdy wdowa, przybliżając się do lepianki Pat'a, ujrzała w niej światełko o tak późnej porze, serce jej zaczęło bić mocniej, bo myślała iż zasłabł i dla ugotowania jakich ziółek rozniecił ogień na kominku, lecz podszedłszy pod okienko, gdy zajrzała w środek lepianki i usłyszała następującą rozmowę, struchlała ze zgorszenia.

— Pat, mój kochany Pat, — mówił Bill Slatery — wiesz ty, że nas bardzo krzywdzisz, żeniąc się z ładną wdówką. Od ośmiu blisko miesięcy, dzieląc się codziennym połowem raków morskich, nie tak wielką krzywdę jej robiliśmy, bo przez to przecież nie zubożała, a nam nie pracując wcale, dobrze z tem było. A teraz ty porzucasz nas, i pewno zabronisz czynić nam to we dwóch, cośmy razem we trzech robili?... To źle, bardzo źle z twej stony... i biorąc butelkę araku do ręki nalał pełną szklankę a podniosłszy do góry mówił dalej:

— Nie piję więc twego zdrowia, lecz zdrowie twej przyszłej żony, której raki tak są wyśmienite, gdy się je zajada, a tak pożyteczne były dla nas, gdy się je sprzedawało na targach New-Yorskich.

— E! ba! Ty nie znasz Pat'a Slatery — odezwał się Jeny Green — dla niego trzeba rzeczy zabronionych, ażeby mu smakowały. Ręczę, że nie raz przyjdzie do nas i namówi, aby w nocy pojechać z nim po raki dla zrabowania ich i pohulania trochę nazajutrz, bo mu żona utracyuszem być nie pozwoli, i będzie go krótko trzymać.

— Co wy tam pleciecie, łotry! — krzyknął blednąc Pat, (bo spostrzegł za okienkiem coś podobnego do czepka kobiecego i usłyszał jakby jakiś szmer) czyście nic nie słyszeli?

— E! to pewnie szczury — rzekł Green — twój dom jest napełniony tą przejemną źwierzyną.

— A może to i wdówka — dodał Slatery — przyszła dowiedzieć się, jak jej raki wyglądają, czy dobrze są ugotowane i czy nam smakują?... Wiwat Mistriss Wad piję za jej zdrowie — i wychylił duszkiem szklankę Wiskey.

W tej chwili drzwi z łoskotem się otworzyły i okazały zdziwionym biesiadnikom Mistriss Wad, czerwoną jak upior, (bo cała krew uderzyła jej do głowy). Rzuciła się ona z wściekłością na stół, porwała miskę z rakami, rozbiła ją o głowę swego kochanka, krzyknęła — O! Pat! i padła na ziemię jak nie żywa.

Granat z ziemi wyskakujący i pękający w środku izdebki nie byłby tyle przestraszył trzech nicponiów, jak ukazanie się w tej chwili Mistriss Wad. Widząc ją leżącą na ziemi i nie dającą znaku życia, przekonani byli, iż z gniewu apopleksyą tkniętą została. Nie chcąc zatem mieć z tego powodu do czynności z sądami, nie wiele myśląc, po krótkiej naradzie, zemknęli z lepianki, gdzie przed chwilą wesoło ucztowali i dopadłszy czemprędzej czółenka, odpłynęli do Nowego-Yorku, zkąd nazajutrz z rana powędrowali do Zachodnich Stanów, szukać na stepach i w lasach lepszego, jak rybackie życie.

Dziewczynka towarzysząca Mistriss Wad, widząc ją leżącą bez przytomności, pobiegła do najbliższego domku, gdzie obudziwszy już śpiących mieszkańców, opowiedziała im całe zdarzenie. Ci zaszedłszy z pomocą do lepianki, potrafili nareszcie docucić się nieszczęśliwej wdowy i odprowadzili ją do domu. Smutnym był dla niej dzień następny, w którym miała zostać Mistriss Nelligan.

Do końca życia wdową pozostała. A narzeczony stracił młodą żonę, ładny domek z ogródkiem, krowy, trzodę i łodzie, i prowadzi życie koczownika po stepach i lasach Zachodniej Ameryki.

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

IV.

A więc „Plotki" moje naprawdę wywołały wrzawę. Dobry to znak, pochlebny dla mnie.

Nie ulega wątpliwości, że Warszawka sypiąc sobie z rogu obfitości reklamy i uwielbienia i przez nie czując się sama wielką, wmówiła w biedną Galileję, że nią jest na prawdę. I Galicya skłoniła przed Warszawką głowę z dwóch powodów. Raz dla tego, że człowiek lub społeczeństwo, trapione rozlicznemi dolegliwościami, rade szuka po zagranicami swych stosunków zbawienia.. Przecież blisko przez sto lat spoglądaliśmy na Francyą, ciesząc się z każdej w niej zmiany, czy z egoistycznego króla mieszczaństwa, czy z rewolucyi lutowej, a najwięcej ze zbrodni Cezaryzmu. Przytem zdaje się galilejczykom, że Moskale tak srodze pastwią się nad nami, że każdy obiad dla Wojcickiego lub Matejki, uważacie za wielkie i niespożyte objawy wielkości ducha narodowego, o czem również nie wątpi i Warszawa.

Powiem wam więc w sekrecie, że Moskale nie zażynają nas na ulicach, nie podsłuchują pod drzwiami!... To tylko my nie możemy ochłonąć z przerażenia wywołanego 64tym rokiem i ciągle nam się zdaje, że nie dość jeszcze objawiamy lojalności. Po każdym postawionym choćby najlegalniejszym kroku, zapytujemy się siebie, czyśmy czasem nie zrobili czegoś, za co moglibyśmy być poczytywani za podejrzanych.

Moskale po cichu śmieją się z nas, i z naszej lojalności i strachów o jej utratę, bo nie wierzą w nią, ale udają, że tego nie widzą. I dobrze jest, bo to nam nie przeszkadza cicho poświęcać się.

Również posądzacie mnie, panowie Lwowiacy, o niechęć do niektórych literatów warszawskich, o złość, zawiść i zazdrość, dla tego, że się nie mogę wznieść na wysokość wielkości naszych, że blask ich sławy zaciemnia mnie, że łuna bijąca ze złotego „Pokłosia" przyprowadza mnie do szaleństwa. Zgrzytając więc zębami, rzucam się na proroki, na Mojżeszów i Jonaszów warszawskich!...

Nie ma zatem innej rady, jak powołać się na fakta i świadków.

Wyszukałem list *Litwosa* (Sienkiewicza) datowany z *San-Francisco 9. września*, i z niego przytaczam co następuje:

„Pani Modrzejewska trzymana jest teraz w formalnem oblężeniu w Polace hotel, przez agentów teatralnych, recenzentów, redaktorów i znakomitości miasta. Na ostatniem przedstawieniu prasa podała do niej adres na białym atłasie. Prócz adresu ofiarowano jej olbrzymi kosz z trójkolorowych (narodowych barw) kwiatów z zatkniętą na wierzchu chorągwią (polską) wszystko to od prasy. Adres był wierszem, którego ostatni ustęp brzmi:

„Keep Polish memories in your herart alone".
„America now claims yon for her own".

Co znaczy: „zatrzymaj pamięć Polski w swem sercu, ale teraz Ameryka uważa Cię za swoją własność". Po tych wierszach następują podpisy dziennikarzy.

„Piękniejszy jeszcze jest sonet, napisany przez Jfintona, redaktora *Evening Post* i publikowany już we wszystkich innych gazetach.

„Krótko mówiąc, mieliśmy w Warszawie naprawdę najznakomitszą może na świecie artystkę i.. wygryźliśmy ją".

„Prócz tego, uderzywszy się w piersi czy to raz rozmaite literaciki docinały jej w rozmaitych gazetach i gazetkach, dla tego tylko, aby pochwalić się potem przy czarnej kawie: „ o ja, to dopiero napisałem pani Modrzejewskiej" !! I tak też pisali, aż wypisali. That all right!"..

Chcąc być sprawiedliwym, wyznać muszę, że winniśmy tylko „Gazecie Polskiej" Sienkiewicza, czyli jego talent. Ona to drukowała i drukuje wszystkie jego prace, pod jej skrzydłami wzrastał ten młody talent, dojrzewał. Nie prześladowała go swoją cenzurą, zasadami i pokątnemi intrygami. Często się zdarzało, (o co zresztą u nas nie trudno), że na górze były wydrukowane wprost przeciwne zdania od opinii fejletonu Sienkiewicza. Oszczędzano go i uznawano, popierano i protegowano, pomimo że nie miał za sobą ani powagi, ani reklamy, a co najciekawsze protekcyi. Jedna jedyna „Gazeta Polska" i jeden jedyny z ostatnich lat dziesiątek Sienkiewicz, podniesiony przez dobrą wiarę i uznanie bezinteresowne peryodycznego pisma.

Które z pism może z czemś podobnem pochwalić się. „Kłosy?“... Pan Lewental, właściciel „Kłosów,“ opiekun sztuk, rzemiosł i literatury krajowej, zawiadowca jubileuszowych obiadów — pokaże nam kieszenie wypakowane rublami i pałac wybudowany ciężką pracą literackich rzemieślników, i nic więcej, nic — *nikogo*... Ach zapomniałem i przepraszam, pokaże nam Lubowskiego!

Protekcya jest u nas wszystkiem! zawsze i wszędzie!

Znacie dzieje pierwszego dzieła napisanego przez Tissot'a podobno „Prusacy w Niemczech.“ Biedak (Tissot) odprawiony z kwitkiem przez wszystkich nakładców w Paryżu, udał się do Lausanny, do przyjaciela księgarza i ten zamówiwszy z góry 500 egzemplarzy dzieła tego u wydawcy paryskiego, skłonił go do podjęcia nakładu. Książka Tissot'a w przeciągu dwóch lat doczekała się 12tu wydań, przyniosła dochodu 50 tysięcy franków, i zrobiła droższą i korzystniejszą nad pieniądze — sławę autorowi.

Rolę wydawców paryskich odgrywają w Warszawie redaktorzy, albowiem wydawcy warszawscy nie odgrywają absolutnie żadnej dodatniej roli, bo nie zdradzają żadnej samodzielności. Po za wydawcami paryskimi jest publiczność paryska, która kupuje, sądzi, krytykuje, słowem ma wyrobiony gust, i swoją opinią przeważa szalę zwycięztwa na stronę autora. Książka jeżeli jej się podoba, jest kupowaną i rozrywaną. Mówią o niej w salonach, klubach, kawiarniach, na bulwarach, w domach mieszczańskich i pracowniach rzemieślników, sądzą o niej sami, nie pytając się o niczyją opinię.

U nas w Warszawie mało kupują, a prawie nic nie mówią, nie roznamiętniają się, nie zapalają. Jakaś dziwna ospałość panuje, a przytem publiczność, zteroryzowana przez prasę, dzieli jej opinie, i za nią frazesa powtarza... Ztąd to pochodzi, że nie opinia kieruje księgarzami, lecz księgarze prowadzą opinię i ludzi. Największe powodzenie ma ten autor i ta książka w rozprzedaniu, której renomowany i zamożny księgarz ma zysk największy. Potrafi on książki przynoszące mu duże rabaty sprzedać, co znaczy, że publiczność nie szuka, nie stara się, nie kupuje sama, bo nie wie, o co się starać, co kupić, czyli nie umie wybrać, a bierze to, co jej zręcznie księgarz wsunie w ręce.

Zdaje się, że się dość jasno wytłumaczyłem, dla czego miernoty u nas rozchodzą się stosunkowo obficie, a dla czego rzeczy rzetelnej artystycznej wartości drzemią na półkach. Krytyka prasy jest łaskawa przeważnie dla swoich, o nie swoich milczy, jeżeli nie gani.. Teraz rozumiecie, dla czego wasze galicyjskie wydania, czyli wasze dzieła i autorzy są u nas prawie nieznani. Gdyby wasi nakładcy dali naszym księgarzom 70% na 100 procentów, autorzy galicyjscy byliby głośni... Teraz rozumiecie dla czego wasz Jan Lam, Ujejski, Małecki i inni, są tak u nas mało znani!... Dotąd, powtarzam, publiczność nasza nie rozkazuje, ale słucha, ale bierze, nie wybiera, nie sądzi, lecz z uległością przyjmuje wyroki — i dopóki to trwać będzie, literatura nasza beletrystyczna z największemi trudami i wysileniami odradzać się będzie. Dawniej rozpalaliśmy się do każdego utworu, zdradzającego talent, serce i uczucie. Dziś w morzu zalewających nas miernot nie umiemy łowić pereł. O ile znamy się na *szyku*, i błyskotliwo-rzemieślniczej elegancyi, o tyle mało mamy rzetelnego smaku artystycznego i estetycznego gustu.

Nareszcie wrócił nasz Jacek Soplica vulgo Władysław Olendzki, lekarz hajdelbergski, dwóch wyzwolonych nauk: ekonomii i policyi. Blumschli, który podobno wykładał policyą w uniwersytecie Heidelbergskim, przy zdawaniu egzaminu z tego przedmiotu przez Olendzkiego, miał się do niego odezwać:

— Jeszcze nigdy i nikogo nie widziałem coby policyą (proszę rozumieć naukę) tak wybornie zjadł i tak pysznie strawił... — Przy tych słowach łzy zabłysły w oczach staremu profesorowi

Wersyę tę słyszałem powtórzoną wraz z innemi po wiele kroć razy przez samego pożeracza policyi, inaczej „Jacka Soplicy.“

Mniejsza z tem, dość że „Jacek,“ kronikarz „Niwy“ wrócił, wąsy jego są jeszcze więcej czarne i j szcze więcej olbrzymie, i gdyby drugi raz do Warszawy przyjechała Dagmara, teraz już naprawdę groziłoby jej sercu niebezpieczeństwo.

Pominąwszy wąsy, policyą i Dagmarę, przyznać musimy, że Jacek Soplica jest najlepszym kronikarzem warszawskim. Ma trzy wielkie przymioty, nie jest pospolitym, zatem nudnym, posiada werwę i co najważniejsza u nas: odwagę cywilną!

W zeszycie 70tym „Niwy“ w sprawach bieżących pisze on:

„Na liście kandydatów, obok rubryk obejmujących ich nazwiska, istnieje wprawdzie druga; ale nie wpisują do niej przedstawione kwalifikacye, lecz nazwiska *protektorów!!!* Wyboru dopełnia się w następujący sposób: Urzędnik z kategoryi dygnitarzy, trzymający listę, czyta nazwisko pana X. starającego się o posadę, dajmy na to zawiadowcy stacyi.

— A kto go poleca — pyta nominujący?

— Pan Y. — odpowiada urzędnik.

— A który to? — nowe pytanie nominującego.

— Radca taki a taki — brzmi odpowiedź.

— Potrzebny nam — mówi przełożony — ale dowiedz się pan, czy mu na tej nominacyi istotnie zależy?

— Dowiedziałem się — odpowiada podwładny. — Pan S. nie zna właściwie pana X., ale proszono go o poparcie...

— Wykreślić — brzmi głos rozkazujący. — Któż tam więcej?

— Pan Z. — czyta urzędnik — poleca go pan A.

— No to jeden z naszych przyjaciół, dobre polecenie, ale pan A. ma wielu jeszcze innych protegowanych, może tam jest dla kogo innego jakaś ważniejsza protekcya, zobacz pan.

— Jest panie, bo o to pani B. poleca pana C.

— O, o - woła nominator - to gruby fisz; pani B. nam bardzo potrzebna; jej protegowany otrzyma posadę. Wymazać wszystkich innych'...

W ten sposób postępuje się nadal, i ta i owa i każda nominacya *fara da se.* Na drzwiach zaś biura stoi napisano ku zbudowaniu przychodniów: „Nie przyjmuje się próśb o miejsca do dyrekcyi, albowiem zgłosiło się już przeszło pięć tysięcy kandydatów.“

„Napis podobny zdziwiłby nas choćby ze względu, że po za obrębem tych pięciu tysięcy kandydatów, łatwo znaleśćby się mogło jeszcze kilku, których kwalifikacye zakasowałyby wszelkie inne..“

Istotnie napisać coś podobnego, czyli tak szczerą prawdę, należy w Warszawie do wyjątków, i zasługuje na uznanie.

To samo co kronikarz „Niwy“ napisał o prywatnych urzędach i dyrekcyach, można powtórzyć o redakcyach pism naszych. Tak samo jak na drzwiach biur, i redakcye u wejścia do swych salonów mogą napisać: „Nie przyjmuje się już rękopismów, albowiem posiadamy ich pięć tysięcy sztuk!“ I dla tego tak dużo jest w naszych renomowanych pismach *ciepłej wody* osłodzonej cukrem dyalektyki, i naperfumowanej zapachami pochlebstw wszelkiego rodzaju i gatunku. I dla tego często w naszych renomowanych pismach są nędzoty, długie i nudne jak wieczory jesienne, których nikt nie czyta; lecz wielu, bardzo wielu prenumeruje owe pisma, bo są renomowane tak jak i literaci są renomowani bez względu na ich zdolności i talenta Są to ci, którzy biorą po *pięć* kopiejek od wiersza druku, gdy drudzy muszą się cieszyć trzema kopiejkami, i jeszcze dobijać się o miejsce w szpaltach wielkiemi wysileniami protekcyi! Lubowski naprzykład ma dochodu ze swych prac przeszło trzy tysiące rubli, gdy drudzy pracując bez porównania więcej, nie zarabiają tysiąca. Nie mówiąc nic o różnicy talentów. Struve za swe banalnofilozoficzne, a przedewszystkiem recenzyjne ze sztuk pięknych, malarstwa, artykuły, bierze od 30 do 40 groszy od wiersza druku! Dodajmy do tego, raz jeszcze powtarzam, względy wszelkiego rodzaju, na gu ta, upodobania, uprzedzenia, poszanowania rozlicznych przesądów i wad społecznych u prenumeratorów, a nareszcie może raz przecie zechcecie jasno sobie wyobrazić i znaleść powody, dla czego warszawska literatura wysila się, ciężko pracuje, przebiera w pocie czoła jakby nogami w deptaku i stoi w miejscu, nie mogąc wyłonić z siebie młodych talentów, z których jedni idą na służbę do „Kurjerka Warszawskiego“(?), drudzy zmieniają się w aktorów jak Kotarbiński. (C. d. n.)

TELEFON.

ODCZYT PUBLICZNY

BRUNONA ABAKANOWICZA,

miany dnia 16. grudnia 1877 w głównej sali laboratoryum chemicznego lwowskiej szkoły politechnicznej.

(Ciąg dalszy.

W tym czasie oddawał się Graham Bell szczególniejszego rodzaju zajęciu Zastosowywał praktycznie w Bostonie swój nowy system nauczania mowy głuchoniemych Wiadomo, że organa mowy tych kalek są zupełnie w porządku i że są oni dla tego tylko głuchymi, że są niemymi od urodzenia i jeżeli zdołamy wytłumaczyć głuchoniememu, w jaki sposób ma układać swoje usta, język i podniebienie, żeby wydawać pewne dźwięki, to nauczymy go mówić. Bell, robiąc swe doświadczenia nad głuchoniemymi, szukał przedewszystkiem dokładnego sposobu przedstawienia graficznego drgań głosowych. Zdarzyło się, że w tym samym czasie niejaki p. Maurey, student technologicznego instytutu, zrobił pewne ulepszenie w tak zwanym *fonautografie*, t. j. przyrządzie do notowania głosu na papierze lub innej po-

wierzchni. Przyrząd taki jest bardzo prostym i od dawna już znanym. Składa się on z szerokiej otwartej u obu końców rury. Jeden z otwartych końców zamyka się napiętą sprężystą błoną. Skoro zaczniemy mówić lub też spiewać do otwartego końca, to błona drgać zaczyna i jej drgania są zupełnie odpowiednie do drgań powietrza wywoływanych naszym głosem. Na stronie zewnętrznej błony, w jej środku, przymocowane jest dość długie ostrze, które drga wspólnie z błoną i rysuje odpowiednie do tych drgań figury na szybko przesuwającym się zaczernionym sadzami papierze lub też szkle. Błona fonautografu zupełnie tak rusza ostrzem, jak błona bębenkowa ucha naszego rusza małą kosteczką zwaną młotkiem, a wchodzącą w skład naszego mechanizmu słuchowego. Otóż Bell postanowił zbudować nowy fonautograf, daleko więcej zblizony kształtem swoim do budowy usznej. W tym celu porozumiał się z jednym z najbardziej znanych lekarzy usznych w Bostonie, z Drem Blake, który podsunął mu myśl zastosowania samego ucha człowieka do notowania dźwięków. Żywa błona bębenkowa miała grać rolę błony fonautografa. W tym celu wstawił Bell do ucha małą, delikatną słomkę, przylepił jeden jej koniec za pomocą gliceryny do błony bębenkowej. Drugi koniec rysował wszystkie ruchy, które odbywała ta błonka i doświadczenie dobrze się udało.

Gdy w ten sposób eksperymentował, uderzyła go myśl, która odrazu doprowadziła go do wynalazku mówiącego telefonu, najcudowniejszego z wynalazków naszego stulecia. Zdziwiony był nadzwyczajną dysproporcyą pomiędzy nadzwyczaj lekką błoną bębenkową, a stosunkowo dość ciężką słomką, przez tę błonę poruszaną. Pomyślał sobie, że jeżeli tak cienka jak papier i tak delikatna błona zdoła poruszać słomkę, to dla czegóżby daleko większa i grubsza błona kauczukowa lub pęcherzowa nie mogłaby z łatwością poruszać kawałkiem żelaza do niej przylepionego.

W tej chwili przystąpił do doświadczenia, które po zwalczeniu pierwszych trudności dobrze wypadło, i od tej chwili rzec można datuje się wynalezienie telefonu, jak się zaraz o tem przekonamy.

Przedstawmy sobie taką napiętą błonę, wraz z kawałkiem żelaza do jej środka przylepionym. Umieśćmy przed tą błoną magnes tak, żeby jeden jego biegun był bardzo blisko od wspomnianego kawałka żelaza i okręćmy magnes izolowany drutem metalicznym, którego oba końce idą do następnej stacyi i tam łączą się z sobą, okręcając znowu laskę magnesu. Na tej drugiej stacyi znajduje się taka sama błona, z kawałkiem żelaza umieszczonym w bliskości bieguna magnesu.

Jeżli na piewszej błonie zaczniemy w jej bliskości wydawać dźwięki, to zacznie ona drgać a razem z nią i przylepiony kawałek żelaza, który się będzie szybko przybliżał i oddalał od bieguna magnesu. Powstaną wskutek tego w drucie otaczającym magnes prądy, których natężenie będzie co chwila się zmieniać odpowiednio do ruchów, które kawałek żelaza odbywa. A ponieważ żelazo wspólnie z błoną odbywa ruchy takie, jakie mu wskazuje drgające powietrze, którego drgania z kolei rzeczy są odpowiednie do drgań strun głosowych, więc w drucie otaczającym magnes powstaną prądy faliste o zmiennem, ale proporcyonalnem do dźwięków natężeniu. Prądy te przenoszą się po drucie na drugą stacyę i tam przebiegają około magnesu zwiększając co chwila, lub też zmniejszając jego siłę przyciągającą. Wskutek tego żelazo znajdujące się przed biegunem tego magnesu, zmieniającego co chwilę swoją siłę, będzie raz silniej, drugi raz słabiej przyciąganem i zacznie drgać razem z błoną, zupełnie tak jak te części drgają na stacyi pierwszej, na której głos jest wydawanym.

W tej mniejwięcej formie wystawionym był telefon Bella na wystawie filadelfijskiej.

Od tego dość skomplikowanego przyrządu, do niezmiernie prostego telefonu, który tu właśnie mamy przed sobą, był tylko krok jeden do zrobienia. Zamiast wielkiej, napiętej błony z przylepionym do niej kawałkiem żelaza, użył Bell wprost cieniutką żelazną blaszkę, która zastąpiła całą błonę i doskonale oddawała wszelkie drgania odpowiednie dźwiękom ludzkiej mowy.

Obecnie więc używany telefon składa się z magnesu otoczonego drutem izolowanym, mającego parę cali długości, i z blaszki cienkiej żelaznej, półtora-calowej średnicy, umieszczonej naprzeciw bieguna magnesowego. Te części zasadnicze umieszczone są w otoczonem z suchego drzewa pudełku. Cały przyrząd ma zaledwie kilka cali długości. (Dok. nast.)

SPRAWY SZKOLNE.

„TO TYLKO DROBIAZGI“.

I.

Największymi wrogami dziatwy i młodzieży są tak zwani przez samych siebie „nieprzyjaciele pedanteryi“. Zapewne, że hołdowanie do śmieszności posuniętemu formalizmowi, i pedanterya w ujemnem swojem znaczeniu nietylko pożytku nie przynoszą młodzieży, ale nawet tępią świeżość umysłu, sprężystość jego tłumią i szkodę niezmierną przynoszą szkole, jeżeli w niej znajdą się nauczyciele *istotni* pedanci. Odróżnić atoli należy pedantów prawdziwych, (których nawiasem powiedziawszy już dziś znaleźć trudno), od nauczycieli pojmujących tę prawdę niezbitą, że w pedagogii nie ma tak drobnego czynnika, aby się z nim liczyć nie należało. Chcąc z całą sumiennością gorliwego nauczyciela spełnić nietylko dydaktyczny, ale i pedagogiczny w szkole obowiązek, należy mieć zawsze tę prawdę przed oczyma i zawsze wiernie jej służyć.

Nie ubliżając wcale nauczycielstwu, musimy wyznać, że nie zawsze i nie wszędzie pamiętamy o tych drobiazgach, które ważnymi są w pedagogii czynnikami, że nawet często lekceważymy je, zasłaniając się zdawkowem wyrażeniem „ktoby na to zważał, to tylko drobiazgi“.

A jednakowoż te lekceważone drobiazgi bywają często nawet i obywatelskim nauczyciela obowiązkiem.

W krociach tysięcy rozchodzą się rocznie po kraju zeszyty kaligraficzne, nadsełane naszym kupcom z niemieckich fabryk. Spotykamy na nich napisy niemieckie, obrazki często do budzenia pruskiego patryotyzmu służące, widoki pałaców, zamków i miejscowości niemieckich, na spodniej okładce często mapki prowincyi niemieckich i t. d.

Jesteśmy najsumienniej przekonani, że tego rodzaju fabrykaty są dla młodzieży, a raczej dla dziatwy w naszym kraju szkodliwe. Jakkolwiek najgorliwszym jestem zwolennikiem nauki języków obcych, a między niemi przedewszystkiem niemieckiego, tak z intelektualnych, jako też i politycznych przyczyn, wszelakoż pozwalam sobie powiedzieć, iż zeszyty z napisami niemieckimi do nauki języka niemieckiego w niczem się nie przyczynią, a młodzież naszą oswajają już od pierwszych lat jej życia z pewnego rodzaju poddawaniem się pod supremacyę niemczyzny, czego przecież ani kardynalne zasady pedagogiczne, ani obecne ustawy szkolne i polityczne wcale się nie domagają, i domagać nie pragną. Dziecko, bezustannie mające przed oczyma „Schreibthekę“, tak się oswaja z nią, że jeżeli nawet dostanie kiedy w rękę „zeszyt“, już go niejako z niedowierzaniem i jakby z lekceważeniem przyjmuje. Jeżeli się zważy, iż z 4 klasy ludowej, zaledwie część mała uczniów udaje się do szkół średnich, a większość znaczna zupełnie przestaje się uczyć i wsiąka w masy ludu, to łatwo pojąć, że dziatwa ta wyniósłszy ze szkoły poszanowanie dla „Schreibtheki“, a tem samem dla niemczyzny, mnożyć będzie zastępy owej arystokracyi intelligencyi wiejskiej, która za znamię swej wyższości nad tłumem uważa kaleczenie ojczystej mowy zwrotami niemieckimi.

Obrazki wojowników pruskich powinnyby nawet zupełnie być zakazane, ze względu na patryotyzm austryacki, a co do widoków miejscowości i przeróżnych pałaców niemieckich, toć dowodzenia nawet nie potrzebuje, ileby młodzież korzystała, gdyby je zastąpiono widokami kraju rodzinnego, z którym przedewszystkiem zapoznać się winna, co z planu nauki geografii wypływa.

Najlepsze jeszcze ze wszystkich zeszyty Ed. Mussila, zalecone przez w. ministerstwo oświaty do użytku szkolnego, rozporządzeniem z dnia 1 marca 1875, grzeszą jednostronnością.

Napisy wprawdzie polskie, illustracye wcale udatne i staranne tak, że nie obrażają dobrego smaku, ale w illustracyach tych widzimy: zamki czeskie, miasta różnych prowincyi niemieckich w Austryi, widoki pięknych okolic Węgier, ale z kraju naszego jedynie „Morskie oko“ pomieszczono. Na spodniej okładce znajdujemy mapy wszystkich krajów koronnych monarchii, prócz naszego.

A czyż nasz Wawel i starożytne budowle Krakowa nie godniejsze rozpowszechnienia nawet między młodzieżą niemieckich prowincyi, niż zameczki magnatów niemieckich, nie mające żadnego historycznego znaczenia?

Jakżeż doprowadzić do tego, aby nasze pamiątki i krajowe miejscowości illustrowano na szkolnych zeszytach? Bardzo łatwo. Wydawca, nakładca czyli fabrykant tych zeszytów w Wiedniu liczy się z zyskiem, boć rzecz dla zysku prowadzi. Kupcy zaś nasi sprzedają, co się da sprzedać. Nie kupujmyż dziatwie naszej innych zeszytów, okrom takich, na których są widoki swojskie. Obecnie jest tylko „Morskie oko“, zatem kupujmy tylko zeszyty z „Morskiem okiem“. Rzecz naturalna, że kupcy nie mogąc innych rozsprzedać, sprowadzać ich nie będą, a fabrykant widząc ogromny popyt za widokami naszego kraju, już dla zysku samego postara się o nie.

W tej mierze nauczyciele ludowi wiele zdziałać mogą i działać powinni, ale niestety często słyszeliśmy na uwagi nasze odpowiedź: „ktoby tam zważał na takie drobiazgi“.

Mamy przed oczyma inny rodzaj zeszytów. Pozwólcie, że dla oryginalności napisu, w całości go przytoczę. Oto przed nami: „Nauka praktyczna pisania za pomocą *Pisówek* zastosowana w najnowszych zasadach od Józefa Pokornego, nauczyciela *przy* Berneńskiej gremialnej handlowej i przemysłowej szkole dla szkół polskich przez Adama Walacha nauczyciela w Pośrednio-Suchej“. Co to oznacza? powiem szczerze: nie rozumiem.

Ale toby jeszcze było arcyjasnem w porównaniu z instrukcyą używania tych zeszytów, wydrukowaną na pierwszej stronnicy. Instrukcya ta opiewa: „*Wszystke* zasady *anglickiego* pisma zawarte są w 13 *dowodzonych* numerach *rządku* pierwszego, gdzież i t. d.“ a potem: „Zasady te są przeznaczone *co wywód* do *nauky* i *dla* tego dla nauczyciela przyłączone... który *zjawnym* zrobić ma i td. i td.“

Nie wiem co więcej podziwiać, czy zuchwałość fabrykanta rozsiewającego tego rodzaju barbarzyństwo, czy ospałość naszą, że nie zwracamy uwagi na tę niedorzeczność, czy wreszcie obojętność nauczycieli, iż cierpią podobne niedorzeczności w szkole.

Wobec ludu i dziatwy druk ma ogromną powagę, graniczącą prawie z nieomylnością. Rzecz to nader przydatna dla pedagoga i należy z niej korzystać, podsuwając dziatwie zdrowy pokarm drukowany. Wobec takich barbarzyństw, drukowanych w zeszycie szkolnym, dzieciak straci poważanie i wiarę w książkę, albo w nauczyciela i lekce brać sobie będzie prawidła gramatyczne, skoro go szkoła z drukowanem lekceważeniem języka oswaja. Obowiązkiem jest nauczyciela wyrzucać tego rodzaju fabrykaty z ławy szkolnej, lecz „ktoby tam zważał na takie drobiazgi?“

Postawmy raz tamę temu zalewowi przemysłu prowincyi niemieckich, a szkoła skorzysta i kraj wreszcie zacznie może sam produkować przynajmniej „zeszyty“. Próby już w tym kierunku czyniono w Krakowie i we Lwowie; nauczycielstwo niech je popiera, a panowie przemysłowcy niech ze swej strony starają się o większy rozgłos i stosunki handlowe dla swych wyrobów. Po miasteczkach i po wsiach, ani kramarze, ani publiczność kupująca nie wiedzą najczęściej, co tam się dzieje w stolicy, toż należy za pośrednictwem kolporteryi rozrzucać własny produkt po kraju.

Jest to zaledwie setna część tych „drobiazgów“, o których mówićby należało, a o których bodaj w części pomówimy. Szukamy gościnności w piśmie nie specyalnie pedagogicznem dla tego, aby się podzielić uwagami naszemi z szerszem kołem czytelników, śród których spodziewamy się usłyszeć poparcie naszego zdania, że „to nie są drobiazgi“. Tym czasem do widzenia.

Czesław Pieniążek.

POŻEGNANIE.

(Do K. U.) *)

Ubrał mnie w kwiaty Polek, wziął strzemion kielichy,
I szedł pewien zwycięstwa zdradny anioł pychy:
Okiem mię zmierzył,
Odszedł — myślący: „uwierzył!“

Bracie mój! w twarz mu rzucam pożegnanie z Tobą.
Odchodzę z żałobą,
Bo pytam Ciebie, mój druhu szermierzu,
Azaż ja w innym od twego puklerzu?
Czy z innej stali nasz oręż wykuty?
Czy moje serce od Twego gorętsze?
Natchnienia źródło świętsze?
Czyś ty wołał: uciechy! gdym wołał: pokuty!?

Rzuć na głaz pieśni nasze; po ich brzęku,
Po ich jęku,
Po dzwonowym żalu,
Poznasz: z jednego wylane metalu!
A przecież w Twym domu,
Gdzie Ty bojujesz, jeden stojąc u wyłomu,
Dla tego, że zleciała z pustyń beduina,
Pieśń mą wita, jak nową, braterska drużyna,
I dłoń mą ściska...

Jeżeli prawdą łza ta, co im w oku błyska,
Jeżeli miłości promień
Zatlił w ich piersiach żary, a nie w trawach płomień:
U twych skrzydeł, mój bracie, sercem się uczepię,
Porwę cię ztąd i puszczę na Babelów stepie,
A po tem we dwóch!
Znał ludzką naturę
Jowisz, co gromy rzucał, odziawszy się w chmurę!

12 marca 1877. *Karol Brzozowski.*

JEDYNY UŚCISK.

Raz ją, raz tylko trzymałem w objęciu:
Blada i cicha, oczy miała zwarte,
Utulonemu podobna dziecięciu,
Gdy w śnie ma jeszcze ślady łez niestarte.

Raz ją, raz tylko trzymałem w objęciu,
I wiem, że odtąd wiary mi nie złamie;
Wiem, że jak gdyby posłuszne zaklęciu,
Żadne jej więcej nie śmie dotknąć ramię.

Zapomnieć teraz o drogiem dziewczęciu,
I o tej chwili, nie znajdę sposobu.
Raz ją, raz tylko trzymałem w objęciu,
Podając w trumnie do grobu.

W maju 1874. *And. Jarnut.*

*) Wiersz napisany pod wpływem owacyi, czynionych poecie na pożegnalnem zgromadzeniu przyjaciół u Kornela Ujejskiego.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ XIX.

W którym kapitan Servadac uznany jest gubernatorem Galii jednogłośnie, licząc w to i głos własny.

Hiszpanie, którzy przypłynęli statkiem *Hanza*, byli w liczbie dziesięciu, wliczając w to młodego dwunastoletniego chłopaka, imieniem Pablo, uratowanego wraz z nimi. Powitali oni z wielkiem uszanowaniem tego, którego Ben-Zuf zapowiedział im jako generalnego gubernatora prowincyi i po jego oddaleniu się powrócili do roboty.

Kapitan Servadac i towarzysze jego, za którymi w przyzwoitej odległości postępował Izaak Hakhabut, zwrócili się ku wybrzeżu, gdzie stała na kotwicy *Hanza*.

Teraz sytuacya była należycie rozpoznaną. Z dawnej ziemi pozostawała tylko wyspa Gurbi i cztery nie wielkie wysepki. Gibraltar, zajęty przez Anglików, Ceuta, opuszczona przez Hiszpanów, Madalena, zkąd zabrano małą Włoszkę i grobowiec św. Ludwika na wybrzeżu tunetańskiem. Dokoła tych punktów zaoszczędzonych rozpościerało się morze Galickie, zajmujące prawie połowę przestrzeni dawnego morza Śródziemnego i obramowane skałami niedostępnemi i nieznanego składu.

Dwa tylko z tych punktów były zamieszkałe: skała gibraltarska, zajmowana przez trzynastu Anglików, zaopatrzonych w żywność na długie jeszcze lata, i wyspa Gurbi, licząca dwudziestu dwóch mieszkańców, których miała żywić swemi tylko produktami. Być może, iż oprócz tego istniał jeszcze jeden żyjący mieszkaniec dawniejszej ziemi, tajemniczy autor notatek, wyłowionych podczas żeglugi *Dobryny*. Tak więc nowa asteroida liczyła trzydzieści sześć dusz.

Przypuściwszy, że cały ten światek zbierze się kiedykolwiek na wyspie Gurbi, to wyspa ta przy swoich trzystu pięćdziesięciu hektarach dobrej ziemi, obecnie uprawianej, sowicie mogła wystarczyć. Cała kwestya zawierała się w tem, by wiedzieć, w jakiej epoce rzeczona ziemia stanie się znowu wydajną, czyli innemi słowami, po upływie jakiego czasu Galia, wyzwolona z zimna przestrzeni gwiazdzistej, odzyska, przybliżając się do słońca, swoją roślinną siłę. Dwa żadania zatem przedstawiały się mieszkańcom Galii: 1. Czy niebieskie ich ciało podąża po linii krzywej, która kiedyś doprowadzi ich do centrum światła, to jest po linii eliptycznej? 2. Jeżeli taką była ta linia, to w jakim czasie Galia, przebywszy swoją aphelię, pocznie wracać ku słońcu?

Na nieszczęście, wśród obecnych okoliczności, mieszkańcy Galii pozbawieni wszelkich środków obserwacyi, żadnym sposobem nie mogli rozwiązać tych zadań.

Potrzeba było zatem liczyć na środki, które się posiadało, a mianowicie: żywność, znajdującą się na *Dobrynie*, cukier, wino, wódkę, konserwy i t. d., co mogło wystarczyć na dwa miesiące i co hrabia oddawał na korzyść wszystkich; dalej ważny ładunek *Hanzy*, który Izaak Hakhabut zmuszony będzie, prędzej czy później, chętnie czy niechętnie, oddać na użytek publiczny, nakoniec roślinne i zwierzęce produkta wyspy, które, należycie zaoszczędzane, zapewniłyby ludności żywność na długie lata.

Kapitan Servadac, hrabia, porucznik Prokop i Ben-Zuf rozprawiali o tych ważnych rzeczach, zmierzając ku morzu. Naprzód hrabia, zwracając się do oficera generalnego sztabu — powiedział:

— Kapitanie, byłeś pan przedstawiony tym poczciwcom jako gubernator wyspy, a ja sądzę, iż powinieneś zachować ten urząd. Jesteś pan Francuzem, jesteś tu na ziemi będącej pozostałością kolonii francuskiej, a ponieważ każdemu zgromadzeniu ludzi potrzebny jest naczelnik, ja, z swoimi ludźmi uznaję pana za takiego.

— Dobrze, panie hrabio, — odrzekł bez wahania kapitan Servadac, — przyjmuję tę sytuacyę, a z nią wszelką odpowiedzialność, jaką ona wkłada. Zresztą pozwól mi pan wierzyć, że zgodzimy się najzupełniej i będziemy pracować jak można najlepiej dla dobra ogólnego. Do licha! zdaje mi się, że najtrudniejsze już się zrobiło i spodziewam się, że potrafimy dać sobie radę, jeżeli jesteśmy na zawsze oddzieleni od innych ludzi.

To wyrzekłszy, Hektor Servadac podał rękę hrabiemu. Ten uścisnął ją i lekko uchylił głowę. Było to pierwsze uściśnienie ręki, które wymieniali między sobą dwaj ci ludzie od czasu, jak się znajdowali razem. Zresztą żadna najmniejsza alluzya co do dawniejszego współzawodnictwa nie była dotąd i nie miała być w przyszłości zrobioną.

— Przedewszystkiem, zaczął znowu kapitan Servadac, jest jedna kwestya, dość ważna, do rozwiązania. Czy mamy tych Hiszpanów zawiadomić, jakiem jest położenie?

— Ale nie, panie gubernatorze! — odrzekł żywo Ben-Zuf.—Ludzie ci już ze swej natury są dość zniewieściali. Gdyby się dowiedzieli, jak rzeczy stoją, wpadliby w rozpacz i nic nie dałoby się zrobić z nimi.

— A przytem, jak sądzę — dodał porucznik Prokop — są bardzo ciemni i pewno nie zrozumieliby nic a nic z tego, coby można im powiedzieć pod względem kosmograficznym.

— Ba! — odparł kapitan Servadac, — choćby zrozumieli, nie wieleby to ich obchodziło! Hiszpanie są poniekąd fataliści, jak ludy Wschodu, które nie podlegają nadmiernej wrażliwości! Niech mają gitarę, fandango i kastaniety, a o więcej troszczyć się nie będą. Jak pan myślisz, hrabio?

— Sądzę — odrzekł hrabia, że lepiej jest powiedzieć prawdę, tak jak wyjawiłem ją moim towarzyszom na *Dobrynie*.

— I ja jestem tegoż zdania — zawołał kapitan Servadac — i nie sądzę, by z naszej strony należało ukrywać prawdę tym, którzy muszą podzielać jej niebezpieczeństwo. Pomimo że Hiszpanie ci są prawdopodobnie ciemni, zawsze jednak musieli zauważyć pewne zmiany w zjawiskach fizycznych, jak n. p. skrócenie dnia, zmianę w ruchu słońca, zmiejszenie się ciężkości. Otóż wytłumaczmy im, że teraz uniesieni są w przestrzeń i daleko od ziemi, z której pozostała tylko ta wyspa.

— A więc, rzecz ułożona! — rzekł Ben-Zuf. — Powiedzmy wszystko! Żadnych ukrywań! Ale muszę sobie zrobić przyjemność oglądania Izaaka w chwili, gdy się dowie, że znajduje się o kilkaset milionów mil od starej swej kuli ziemskiej, gdzie lichwiarz takiego jak on kalibru musiał pozostawić nie jednego dłużnika! Szukaj go teraz!

Izaak Hakhabut znajdował się o pięćdziesiąt kroków z tyłu; nie mógł zatem nic słyszeć z tego co się mówiło. Szedł na pół schylony, postękując i wzywając wszystkich naraz bogów; ale chwilami małe jego żywe oczka miotały błyskawice, a usta ściskały się, tworząc jakby tylko punkt mały.

On także należycie zastanawiał się nad nowymi fenomenami fizycznymi i nie raz rozmawiał o tem z Ben-Zufem, którego starał się zjednać sobie. Ale Ben-Zuf czuł widoczny wstręt do tego wynaturzonego potomka Abrahama. Żartami więc zbywał Hakhabuta. Tak powtarzał mu, że istota jego rodzaju zyskać tylko może na teraźniejszym systemie, że zamiast żyć lat sto, jak każdy syn Izraela szanujący sam siebie, żyć będzie najmniej lat dwieście, ale że z powodu zmniejszenia wagi wszystkich rzeczy na powierzchni ziemi, ciężar jego starych lat nie wyda mu się zbyt wielkim. Dodawał, że jeżeli księżyc uciekł, to powinnoby być obojętnem dla skąpca takiego jak on hartu, zważywszy, że prawdopodobnie księżycowi nic nie pożyczył. Twierdził, że jeżeli słońce zachodziło w tej stronie, gdzie przedtem miało zwyczaj wschodzić, to zapewne dla tego, że w inną stronę przeniesiono jego łóżko. I tysiące podobnych bałamuctw. A gdy Izaak Hakhabut nalegał, Ben-Zuf odpowiadał niezmiennie:

— Zaczekaj na generalnego gubernatora, To sprytny człowiek! On wszystko wytłumaczy.

— I będzie opiekować się moimi towarami?

— Rozumie się, Neftali! Prędzej skonfiskuje je, aniżeli pozwoli rozrabować.

Wśród takich to odpowiedzi, niezbyt pocieszających, żyd, któremu Ben-Zuf nadawał wszelkie możebne imiona izraelskie, wyczekiwał z dniem każdym przybycia gubernatora.

Tymczasem Hektor Servadac i jego towarzysze przybyli na brzeg morski w stronę, gdzie na kotwicy stała *Hanza*. Niedostatecznie zabezpieczona kilku skałami, bardzo narażona w takiem położeniu, przy lada silniejszym wietrze zachodnim niezawodnie mogłaby być wyrzucona na brzeg, gdzie w kilku chwilach zdruzgotałaby się. Wyraźnie nie mogła pozostawać w tem miejscu i należało zawczasu przenieść ją i umieścić w ujściu Chelifu, koło galioty.

Ujrzawszy swój statek, Izaak znowu rozpoczął cały szereg narzekań, z takim krzykiem i wykrzywianiem się, że kapitan Servadac musiał go zawezwać, by umilkł. Potem, pozostawiwszy hrabiego i Ben-Zufa na wybrzeżu, z porucznikiem Prokopem wsiadł do łódki należącej do *Hanzy* i udał się do tego pływającego sklepu.

Statek *Hanza* był w doskonałym stanie i co za tem idzie, ładunek jego nie musiał nic ucierpieć. Nie trudno było sprawdzić to. W składach *Hanzy* znajdował się cukier w setkach głów, skrzynie herbaty, wory kawy, boksze tytuniu, pipy wódki, beczki wina, baryłki solonej ryby, sztuki materyj jedwabnych i bawełnianych, wełniane ubrania, partya butów na wszelkich rozmiarów nogi i czapek na wszelakie głowy narzędzia, sprzęty gospodarskie, wyroby fajansowe i garncarskie, ryzy papieru, butelki atramentu, paki zapałek setki kilogramów soli, pieprzu i innych korzeni, partya wielkich holenderskich śledziów, aż do kolekcyi kalendarzów — wszystko dochodziło do wartości przeszło stu tysięcy franków. Na kilka dni przed katastrofą *Hanza* właśnie odnowiła swój ładunek w Marsylii w celu spuszczenia go od Ceuty aż do Tripolis, to jest do takich miejsc, gdzie biegły i doświadczony Izaak wiedział, że drogo odprzeda swój towar.

— Pyszny ładunek! bogata dla nas kopalnia! — rzekł kapitan Servadac.

— Jeżeli właściciel pozwoli ją eksploatować, odpowiedział porucznik Prokop, kiwając głową.

— Ależ, poruczniku, co Izaak zrobi z tymi zapasami? Jeżeli dowie się, że nie masz więcej ani Marokanów, ani Francuzów, ani Arabów do obdzierania — musi przecież ustąpić!

— Nie wiem! Ale w każdym razie zechce być zapłaconym za swój towar!...

— A więc zapłacimy za niego, poruczniku, zapłacimy wekslami na stary świat!

— W każdym razie, kapitanie — odrzekł na to porucznik Prokop — pan będziesz miał prawo rekwizycyi.

— Nie, poruczniku. Właśnie dlatego, że człowiek ten jest Niemcem, chcę postąpić z nim w sposób jak najmniej niemiecki. Zresztą, powtarzam panu, wkrótce będzie on nas potrzebował więcej, aniżeli my jego! Gdy się dowie, że jest na nowym globie i prawdopodobnie bez nadziei powrotu na stary, nie będzie się drożyć ze swymi towarami.

— W każdym razie — powiedział porucznik Prokop—nie można pozostawiać jego statku w tem miejscu. Zginąłby przy pierwszej niepogodzie, a nawet nie oparłby się naciskowi lodu, gdy morze zamarznie — na co nie długo trzeba czekać.

— Dobrze, poruczniku. Pan ze swoimi ludźmi przeprowadzisz go do portu Chelifu.

— Zaraz jutro, kapitanie — odrzekł porucznik Prokop — gdyż czas nagli.

Po obejrzeniu inwentarza *Hanzy*, kapitan Servadac i porucznik powrócili na wyspę. Natenczas ułożono, że cała mała kolonia zbierze się przy posterunku i że po drodze zawezwie się Hiszpanów. Izaak Hakhabut wezwany został, by szedł za gubernatorem i był posłuszny, co uczynił nie bez tego, by nie rzucić trwożliwem okiem na swój statek.

W godzinę potem dwudziestu dwóch mieszkańców wyspy Gurbi zgromadziło się w pokoju posterunku. Tam, po raz pierwszy młody Pablo poznał małą Ninę, która wydała się bardzo zadowoloną, znalazłszy w nim towarzysza swego wieku.

Kapitan Servadac zabrał głos i przemówił w taki sposób, by być zrozumianym przez żyda i Hiszpanów, zapowiedziawszy, że chce dać im poznać trudne położenie, w jakiem znajdują się. Dodał zresztą, że liczy na ich rezygnacyą, wytrwałość i że teraz wszyscy powinni pracować we wspólnym interesie.

Hiszpanie spokojnie wysłuchali wszystkiego i nie mogli zdobyć się na odpowiedź, nie wiedząc jeszcze czego od nich żądano. Wszakże Negrete uznał, iż należy zrobić jedną uwagę i zwracając się do kapitana Servadac, powiedział:

— Panie gubernatorze, towarzysze moi i ja pozawieraliśmy umowy i chcielibyśmy wiedzieć, w jakim czasie można będzie odesłać nas do Hiszpanii?

— Odesłać ich do Hiszpanii, panie gubernatorze generalny!—zawołał Izaak czysto po francusku. — Niech mi pierwej zapłacą co są dłużni! Łotry te! przyrzekli mi po dwadzieścia realów od osoby za przewiezienie ich na pokładzie *Hanzy*. Jest ich dziesięciu. Należy mi się więc dwieście realów! Biorę na świadka...

— Milcz, Mardocheuszu! — krzyknął Ben-Zuf.

— Będziesz zapłacony — rzekł kapitan Servadac.

— Będzie to tylko wymiarem sprawiedliwości — odpowiedział Izaak Hakhabut. — Każdemu jego należność, i jeżeli pan hrabia zechce mi pożyczyć dwóch lub trzech swoich ludzi, by doprowadzili statek mój do Algieru, to znowu ja im zapłacę... tak jest... zapłacę... byle nie wymagali zbyt wiele!

— Do Algieru! — zawołał znowu Ben-Zuf, nie mogąc powstrzymać się — ale wiedz o tem...

— Pozwól Ben-Zuf, niech uwiadomię tych poczciwych ludzi o tem, czego nie wiedzą! — rzekł kapitan Servadac.

Potem zacząwszy znowu po hiszpańsku — powiedział:

— Posłuchajcie, moi przyjaciele! Fenomen, którego nie mogliśmy wyjaśnić sobie dotąd, oddzielił nas od Hiszpanii, od Włoch, od Francyi, słowem od całej Europy! Z innych lądów nie pozostało nic, oprócz tej wyspy, gdzie znaleźliście przytułek. Nie jesteśmy już na ziemi, ale prawdopodobnie na odłamie kuli ziemskiej, który unosi nas z sobą i niepodobna przypuszczać, byśmy jeszcze kiedy mogli znowu ujrzeć nasz stary świat!

Czy Hiszpanie zrozumieli wyjaśnienia kapitana Servadac? Było to co najmniej wątpliwem. Negrete prosił go, by powtórzył to, co powiedział.

Hektor Servadac wywiązał się z tego jak umiał, i używając obrazowości dostępnej ciemnym Hiszpanom, doprowadził do tego, iż zrozumieli sytuacyę. Ostatecznie po krótkiej naradzie, jaką Negrete odbył ze swoimi towarzyszami, zdawało się, że wszystko przyjęli z zupełną obojętnością.

Co do Izaaka Hakhabuta, to ten, wysłuchawszy kapitana Servadac, nie powiedział sam ani słowa; ale usta jego zacisnęły się, jak gdyby chciał ukryć uśmiech.

Więc Hektor Servadac, zwróciwszy się ku niemu, zapytał, czy po tem wszystkiem co usłyszał, myśli jeszcze wypłynąć na morze i skierować swój statek ku portowi algierskiemu, którego już żaden ślad nie istniał.

Teraz Izaak Hakhabut uśmiechnął się, tak jednak, by nie widzieli tego Hiszpanie. Potem przemawiając po rosyjsku, by być zrozumianym tylko przez hrabiego i jego ludzi — powiedział:

— Wszystko to nieprawda i jego ekscelencya pan generalny gubernator żartuje sobie!

Hrabia odwrócił się od tego szkaradnego człowieka ze wstrętem nie bardzo ukrywanym.

Wtedy Izaak Hakhabut zwracając się do kapitana Servadac powiedział czysto po francusku:

— Bajki takie dobre są dla Hiszpanów! To ich utrzyma. Ale co do mnie, to inna rzecz!

Potem podszedłszy do małej Niny — dodał po włosku:

— Prawda moja malutka, że to wszystko bajka?

— A! to ten zwierz mówi wszystkimi językami! — zawołał Ben-Zuf.

— Tak jest — odrzekł kapitan Servadac; — ale czy się wyraża po francusku, po rosyjsku, po hiszpańsku, czy po włosku, zawsze mówią przez niego pieniądze. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Bolesławicz. Biała książeczka. Lwów, 1878.

Justyn Hoszowski. Zbigniew, powieść wierszem. Lwów, 1878.

Aureli Urbański. Poezye, wydanie drugie pomnożone. Lwów, 1878.

Włodzimirz Stebelski. Humoreski. Lwów, 1878.

Rodoć. Piosnki i Gawędy humorystyczne, zeszyt V. Bruksella, 1878.

Robert Hammerling. Ahaswer, poemat w 6 pieśniach, przekład *Władysława Ordona.* Lwów, 1877.

(Dokończenie).

Pan Włodzimierz Stebelski w swoich „Humoreskach“ uderza w ton zupełnie inny, niż poeci, o których dotychczas była mowa, a w szczególności niż dwaj pierwsi. Staje on wprawdzie na koturnie i udaje „namaszczonego,“ ale tylko dla tego, aby wydrzeźniać i tę koturnowość i to namaszczenie. Wszystko więc od początku do końca jest u pana Stebelskiego parodyą, i trzeba przyznać, że jeżeli kiedy, to dziś i to szczególnie we Lwowie jest ona na czasie. Parodya zwykle pojawia się w chwilach przechodowych, gdy stare formy poezyi już się przeżyły, nowe zaś jeszcze nie miały czasu narodzić się. Ma ona sama wprawdzie mało warunków po temu, aby została nieśmiertelną, chyba że będzie tak olbrzymią kreacyą jak Don Kiszot, ale wyświadcza wielką usługę, dobijając przeżyte formy i oczyszczając niejako horyzont poetyczny dla nowych tworów.

Humoreski p. Stebelskiego mają ściśle lokalny, lwowski charakter, ale nieszczęściem ciągną soki swoje ze sfery, w której zbyt wyłącznie panuje zmięszana woń araku, dymu cygarowego i tym podobnych ingredyencyi. W większej ich części jako bohater występuje wieszcz głodny, mieszkający na poddaszu „wróg tłumu i matury,“ ze złowrogą inklinacyą do kieliszka i w złowrogim stosunku zostający do żyda-lichwiarza. Nieszczęśliwe przygody miłośne rozbudzają w nim twórczość poetycką, z wezbranego łona leją się pieśni, drukują się potem i — idą do handlu na obwijanie pieprzu i imbieru.

I często teraz w handlu Boziewicza
O rannym brzasku jakaś blada postać,
Chwiejnego kroku, smętnego oblicza,
Pyta, ażali może pieprzu dostać?
I w drżące dłonie pieprz ów zaraz chwyta,
Rozwija papier i ogląda znaki —
Jak archeolog w starych runach czyta,
Tak on zagłębia nos swój w te zygzaki.

Jeszczeż nie wiecie, o panie i pany,
Kto pieprzu szuka w handlu tym najwcześniej?
To właśnie szuka niżej podpisany
Arcydzieł czucia, młodych swoich pieśni!
Może z czarnego zapomnienia kiru,
Jaki poemat jak promień wystrzeli!
Może wypadnie z opony imbiru
Sonet Hamleta do bladej Ofelii.

Niestrudzony piosenkarz, p. Rodoć, który wśród nadzwyczajnej posuchy poetyckiej, jaka obecnie panuje, tak szczodrze zasila „Tydzień“ swoimi utworami, wydał już piąty zeszyt swoich Piosnek i Gawęd humorystycznych. Forma tu beranżerowska, zwinna i lekka, jak w poprzednich zeszytach, ale ten nowy rój os, wypuszczony przez p. Rodocia, prawie cały pomyka w jednę stronę, aby zatopić żądła w gęstych zastępach politycznych nieprzyjaciół poety. Tylko na czele tego roju, jakby dla kontrastu, leci gołąbek, piosnka poświęcona J. I. Kraszewskiemu, a drukowana niedawno w „Tygodniu.“

Owym zastępem politycznych nieprzyjaciół pana Rodocia są wstecznicy ze wszystkimi swymi sprzymierzeńcami od góry do dołu. Już i w dawniejszych zeszytach walczył z nimi p. Rodoć, ale w tym zeszycie wypowiada walkę zażartą. Walka to bezinteresowna, co najwięcej chodzi poecie o poklask tłumu, i w istocie przypomina p. Rodoć średniowiecznego rycerza, który wjeżdża z zapuszczoną przyłbicą w arenę i rzuca rękawicę (rękawicą tu jest piosnka) tym wszystkim, którzy w czemkolwiek zawinili pani jego myśli. Panią jego myśli jest Polska Rękawicę najczęściej podejmuje krakowska prokuratorya i dla tego to w zeszycie piątym jest parę specyalnych utarczek z tą instytucyą.

Wszystkie piosnki pana Rodocia, jakie dotychczas się ukazały, możnaby podzielić na obyczajowe i polityczne. Na pytanie, które mi się lepiej podobają, bez wahania powiedziałbym, że pierwsze, a to dla tego, że jest w nich daleko więcej spokoju, niż w politycznych. W tych ostatnich, czy to wskutek zbyt głębokiego przejęcia się swem zadaniem, czy wskutek innych przyczyn, panuje pewna gorączkowość, pewien niepokój, który i na samą formę artystyczną musi niekorzystnie oddziaływać.

Pan Rodoć lubi walczyć z zewnętrznymi nieprzyjaciółmi „pani swoich myśli“; przedewszystkiem lubi rzucać rękawicę „królom“. Ale cóż? rękawica ta nie może dolecieć do miejsca swego przeznaczenia, i co najwięcej podchwytywaną bywa przez prokuratoryę, która w właściwy sobie sposób rozprawia się z poetą. Poeta składa wprawdzie tym sposobem akt odwagi i niepodległości zdania, ale praktyczny rezultat z tego aktu bodaj czy się jaki okazuje! Inaczej rzecz się ma w piosnkach obyczajowych. Tu poeta walczy z wewnętrznymi nieprzyjaciółmi Polski, tępi najstraszniejszych wrogów każdego społeczeństwa, jakimi są: lenistwo, próżniactwo, pycha i wszelkie kłamstwo, które ma tysiące nazw i rodzajów. Tu poeta ostrzem swej lancy nie w powietrze trafia, ale w żyjące serca, z których może wydobyć jakąś drzazgę kłamstwa.

Ale wróćmy do zeszytu piątego. Najudatniejszemi z piosnek satyrycznych, zawartych w tym zeszycie, wydają mi się następujące: „Republika“, „Cicho, cicho“, „Ach, gdyby nie demokraty!„ „Życie to poema czyste“ a przedewszystkiem „Strasznie głupio na świecie“, piosnka którą wraz z niewielu innemi w tym zeszycie może być zaliczoną do rzędu obyczajowych. Piosnka ta przedstawia kłopot człowieka, który nie wie, jakim ma być, jaką barwę ma przybrać: demokratyczną, klerykalną, czy patryotyczną, ażeby mu się dobrze działo na świecie.

Niech pioruny zatrzasną!
Raz chciałbym wiedzieć jasno,
Jakim mi być wypada.
Człowiek nie wie, jak, kiedy
I napyta się biedy.
Byle z czem się wygada,
I śpiewa gorzkie żale;
Nie gadać, czy co? wcale?

Przechodzi potem z kolei szanse należenia do każdego z trzech wyżej wymienionych obozów i wnioskuje, że nigdzie nie jest dość bezpiecznie, a więc:

Strasznie głupio na świecie!
Aha, wiem już raz przecie,
Mam sposób nieomylny!
Usiędę na trzech stołkach,
I będę wciąż w koziołkach,
Przed każdym, który silny.
Dzisiaj tak robią wszędzie;
Zdaje się, nieźle będzie.

Tłómaczenie Ahaswera przez p. Oordona zostawiliśmy na koniec, jako utwór rozmiarami i znaczeniem stanowczo różniący się od reszty zszeregowanych tu z sobą utworów. O wierności przekładu nic nie powiem, bo jak Lwów długi i szeroki nie mogłem na prędce dostać niemieckiego Ahaswera. Nie mając zaś powodu wątpić o tej wierności, przyjmuję ją na wiarę tłómacza i przechodzę do artystycznej strony przekładu.

Jest ona świetną. Pan Ordon tak włada wierszem, jak nikt z młodych poetów. Wiersz jego jest giętki, harmonijny, sprężysty; polszczyzna jego jest pełna, żywa, plastyczna, mająca odpowiednie barwy dla całej gammy uczuć i obrazów, począwszy od grozy tragicznej a kończąc na najsubtelniej-zej lubieżności. Na całą sporą książkę znajdzie się zaledwie kilka wierszy rażących pod względem stylu, czy to zbyteczną licencyą poetycką, czy niepoprawnością języka, czy niejasnością. Takim jest np. na str. 11 wiersz „Oto w Nerona *bliży* się wynurzy“, gdzie używa poeta słowa „w bliży“ zamiast „w pobliżu“, takiem jest kilkakrotne użycie *czem* zamiast *im* („Tak czem w noc dalej“ str. 41) i inne drobne usterki, które nikną w fałdach wspaniałej całości przekładu.

Pytanie teraz zachodzi, jakie ciało ozdabia ta szata i jaki duch mieszka w tem ciele; jednem słowem, co to jest ów Ahaswer? Więc naprzód trzeba wiedzieć, że Ahaswer nie jest Ahaswerem, to jest, że właściwym bohaterem poematu pana Hamerlinga nie jest, jakby się z tytułu domyślać wolno było, ów żyd wieczny tułacz, co się kiedyś urągał z Chrystusa w Jeruzalem, ale jest nim słynny w dziejach ze swoich okrucieństw, szaleństw i rozpusty cesarz Nero. Sam poeta zaraz po pierwszej stronie przyznaje się do tej niezgody między tytułem a treścią,

„Że zaś surową postać Ahaswera
Stawię tuż obok mego bohatera“ i t. d.

a niezgoda ta jest pierwszą wskazówką jakiegoś organicznego błędu, jakiejś niejasności w pomyśle.

Nero więc jest główną postacią, która zajmuje ciągle oczy i uwagę widza; Ahaswer jest tylko jakby obłokiem, krążącym nad głową Nerona, obłokiem, który czasem zupełnie znika z horyzontu, czasem potężnieje i miota błyskawicami, ale na to tylko, aby się wnet znów ulotnić. Dopiero u samego końca występuje Ahaswer w roli głównego bohatera.

Czegoż chce pan Hamerling, wyprowadzając na scenę swej powieści Nerona? Czy tylko dać obraz szaleństwa, zbytku i okrucieństw tego Cezara? Czy napisać satyrę historyczną, coś w rodzaju wolnego przekładu z Juwenala? Czy wystawić, jak Krasiński w Irydyonie, tryumf chrześciańskiej myśli nad konającym światem pogańskim? Pan Hamerling chce dać wszystkiego po trosze i jeszcze coś więcej. To coś więcej jest bardzo niejasne, mętne, mistyczne, a nazywa się właśnie Ahaswerem.

W jednej z wędrówek swoich nocnych z towarzyszami rozpusty Nero spostrzega człowieka, którego dziwna postać od razu go uderza i po-

*

ciąga fatalnie ze sobą. Kto jest ten człowiek, nikt nie wie. Raz się wydaje zwiędłym starcem, to znów pełnym ognia i zapału młodzieńcem; jedni w nim domyślają się myśliwca z Atlasu, inni kupca z Sydonu, inni jakiegoś wygnanego króla. W gospodzie Lokusty, dokąd Neron zapędził się, goniąc nieznajomego, następuje ich zaznajomienie się. „Ktoś jest?“ pyta go Neron.

„Jam jest, odpowie starzec, „jam jest człowiek,
Umrzeć pragnący“ — „Umrzeć?“ z śmiechem lekkim
Zawoła Neron — „A to rzadkość szczera!
Ja zaś — spójrz, chcącym żyć jestem człowiekiem!
Niezmierne życia pędzi mnie pragnienie!“
— A mnie niezmierne śmierci utęsknienie:“

W dalszej rozmowie powiada starzec Neronowi:

„Nie towarzysza twego stanowisko
Zajmę, trabanta albo niewolnika,
Ale stać będę wciąż przy tobie blisko,
Bom tu dla ciebie przyszedł, władco Romy!
. . . .
Chcę ci dopomódz, abyś mógł na ziemi
Dokonać prędzej swego przeznaczenia.

W jakiż się to sposób ma stać? Oto ma nie znajomy starzec popychać nieznacznie Nerona od rozpusty do rozpusty, od zbrodni do zbrodni i tym sposobem przyspieszyć jego upadek. Zrozumiawszy ten program nieznajomego, w kilku innych miejscach jeszcze zaznaczony, dziwimy się, że później przy jednej tylko zbrodni widzimy rękę jego. On to mianowicie podał myśl Neronowi spalenia Rzymu, ale ani zamordowanie matki, ani śmierć chrześcian w arenie, ani inne zbrodnie Nerona, wprowadzone przez poetę do swej mistyczno-rozwiązłej epopei, nie dzieją się z jego podmuchu.

Ale mniejsza o to; trzeba się domyśleć, choć nam poeta tego nie powiada, że ręka nieznajomego i tu potajemnie działa. Zobaczmy, do czego to wszystko prowadzi. Nero, przeszedłszy przez wszelką rozpustą i zbrodnię, zaczyna się nudzić, przesyt zaczyna go trapić, Nero, którego przedtem „niezmierne życia pędziło pragnienie,“ niczem się teraz nie może rozerwać, ani na chwilę nie może ukoić gadziny nudy, która mu duszę okręca.

Tak więc poczwara, dziwnej okropności,
Co chyłkiem wyszła z Hadesu ciemności,
I w złoty dom się wdarłszy, niezlękniona,
Oddechem swoim owiała Nerona —
Czeluść swojego obrzydłego gardła
Stopniowo coraz otwierała szerzej,
Aż oto cały dom złoty pożarła,
Cały Nerona świat na małą skałę,
Tylu skarbami błyszczący wspaniale.
Nic już do niego więcej nie należy,
Radością nic go więcej nie upoi,
Wśród skarbów, jakby nędzny żebrak stoi.

Przychodzi mu wreszcie myśl zobaczyć jedyną kobietę, którą, jak powiada, prawdziwie kochał: matkę Agrypinę. W Hadesie już ona i tylko czary znowu mogą ją ztamtąd wywołać. Spieszy więc w towarzystwie tajemniczego starca do niego i tu staje przed nim wywołana magicznemi zaklęciami Agryppina, a z nią przez otwarte wrota Hadesu wypada cały tłum duchów, pomordowanych niegdyś przez Nerona, i okrąża go piekielnem kołem. Scena to wspaniała, ale bodaj czy w ścisłym związku zostająca z programem starca, bo chociaż zgroza tej sceny łamie Nerona, odbiera mu czucie, obala go na ziemię, to jednak wszystko to już jedno, czy Neron więcej, czy mniej złamany, gdy buntowniczy okrzyk rozlega się po Rzymie i zbuntowane legiony Galby stają pod Rzymem, aby obalić tyrana.

Wszyscy opuszczają Nerona, tylko jeden Germanin, uosobienie germańskiej wierności, pozostaje przy nim i towarzyszy mu w ucieczce. Błąkając się w noc burzliwą po okolicy rzymskiej, i słysząc z dala radośne okrzyki Rzymu, który wita nowego Cezara, trafia Neron przypadkiem do katakumb, gdzie chrześcianie odprawiają swoje modły. Tu człowiek, co chciał zostać bogiem ziemskim, bogiem użycia, staje oko w oko z Bogiem chrześciańskim, z Bogiem miłości i ofiary. Nero, który w ogóle w poemacie lubi filozofować, co chociaż może nie jest niezgodne z jego portretem historycznym, nadaje mu jednak nieraz strasznie hamletowską barwę, i w tej scenie ma sposobność nie tylko filozofować, ale proroczyć i to tak wiernie, jakby mu znaną była dokładnie z jakiegoś dzisiejszego podręcznika naukowego historya ośmnastu wieków, które po nim nastąpiły.

Zaiste w typy podobne zamożni,
O, marzyciele chrześciańscy pobożni,
Władzę nad całym światem uzyskacie! itd.

Staje się on niemal odrazu i biegłym teologiem chrześciańskim, kiedy mówi:

Przez całe życie, siłami wszystkiemi
Szczęścia szukałem tu nieskończonego;
A może jego początkiem na ziemi
Jest wyrzeczenie się zupełne jego!
Nieskończoności mego „Ja“ szukałem;
A może się ta nieskończoność stanie
Dopiero wtedy człowieka udziałem,
Gdy się „Ja“ swego zaprze sercem całem.
Zapewne takie także jest mniemanie
Serc waszych o tem — i taka, Chrześcianie,
Myśl utajona głęboko się mieści
W obrazów waszych, nauk waszych treści?

Jednakże uznawszy panowanie nowego Boga, Nero nie chce szukać „portu wytchnienia“ na łonie nowej religii, choć po tem wszystkiem, co mówił poprzednio, nie wydałoby się to rzeczą zbyt dziwną. Ale nie, Nero nie chce się ugiąć przed nowymi bogi i stojąc w progu Hadesowym wylewa wino na ofiarę *potęgom wiecznym*, tajemniczym, w cześć Gwiazdom swej młodości, na cześć pięknego zapału płomienia, co i w jego sercu budził wzniosłe dreszcze, a śmiertelnie złamany i znużony święci swój byt czczy, pusty i odarty z boskości

Mocom zniszczenia straszliwym,
Mocom podziemnych światów i ciemności.
(str. 301).

I przebija się mieczem, wyrwanym od Germanina, a wtedy nad ciałem jego staje ów tajemniczy starzec, ażeby przemówić kilka słów przebaczenia i litości nad trupem, i powiedzieć nareszcie o sobie, kim jest. „Ktoś jest?“ pytają go chrześcianie.

„Kędziorów dzikich strząśnie nawał
Z lic Nieznajomy – i z wspaniałym gestem
Odpowiedź daje: Ahaswerus jestem!“

Chrześcianie znają to imię; to Żyd z Jeruzalem, co się naigrawał z Chrystusa i skazany został za to na wieczne błądzenie po świecie, ale tajemniczy starzec prostuje ich tradycyą:

„Ten, który lżył Zbawcy waszemu,
Nie był to zwykły żyd z Jeruzalemu,
Ale Ahaswer już, ów pra-prastary,
Jako świat stary.

A dalej powiada:

Pierworodnym synem
Ja — Niezrodzonych, Stworzonych, – jam pierwszą
Jest latoroślą pierwszej pary w świecie.
Pierwsze na ziemi ludzkie jestem dziecię,
I pierwszym byłem tu rokoszaninem; —
Mną dzieje świata zostały otwarte,
Krwawo ich pierwszą zapisałem kartę.
Mnie to wprowadzić na świat było dano
Śmierć w nim nieznaną, ani przeczuwaną:
Wybiłem bramę jej przez serce brata...
Wpadła — i odtąd grasuje, jak jędza;
Jej niewolnikiem co żywe wśród świata,
Mnie tylko — żem ją wiódł na świat — oszczędza,
Na dank, na karę. Nieraz jej wołałem
Z rozpacznym krzykiem, ze skruchą gorącą,
I zjawiała się, z twarzą chichoczącą,
Potwór, jakiego słowem nie wystawię...
A gdym ją błagał, by mnie wzięła z ziemi,
Odrzekła, szydząc: „Nie! — ciebie zostawię!
W ogólnej zmianie — ty pozostań trwałym,
Bądź nieśmiertelnym — między śmiertelnemi!
Asbestem w ogniu, korkiem w nurcie rwistym,
Skrzydłem w powietrzu, w ziemi dyjamentem,
I w pośród ludzi pielgrzymem wieczystym!
Wysoko, w górze, nad wieków kurzawą,
Stąpaj po sznurze żywota napiętym,
Z czeluścią śmierci na lewo i prawo
I nie ruń — chociaż cię zawrót ogarnie!“
Tutaj zniknęła. I patrz — tę męczarnię
Ludzkości, — która napół nieświadomie,
Za niejasnego popędem pragnienia.
Przez wieki dąży do mety wytchnienia —
Wtłoczono na mnie, w jej całym ogromie,
Abym przez wieki dźwigał ją świadomie!

Widzimy zatem, że tajemniczy starzec mógłby się tak dobrze nazywać Kainem, jak Ahaswerem. Ma być on uosobieniem pokutującego, wiecznie cierpiącego ducha ludzkości, ale jeżeli jest tem, za co go poeta wydaje, to jakże wytłumaczyć jego rolę w legendzie chrześciańskiej o Ahaswerze. Jakto? pokutujący, cierpiący duch ludzkości miałby urągać Zbawicielowi, gdy ten szedł spełnić ofiarę, która według zdania samego nawet Ahaswera, miała uszczęśliwić i przynieść pokój ludzkości? Ahaswer się tłumaczy

Żem się przed Bogiem ugiąć nie był w stanie,
Któż mi za winę ciężką to osądzi —
Powstają bogi nowe nieprzerwanie
I nikną — wiecznie Ahaswerus błądzi.

ale tłumaczenie to zamiast wyrównać wątpliwości, rzuca tylko nowe światło na intencyą autora. Tai się w niej niechęć dla chrześciaństwa, a chęć wywyższenia ludu, który pomimo, iż sam wydał ziarno chrześciaństwa, był i jest ciągłą przeciw niemu protestacyą. Ahaswerus był dotąd przedstawicielem rozproszonego po świecie ludu żydowskiego; robiąc z niego swego bohatera i tłumacząc, dla czego nie chciał ugiąć się przed Chrystusem, p. Hamerling zdaje się powiadać: chrześciaństwo przejdzie i zniknie jak wiele innych religii starożytności, a tylko judaizm pozostanie wiecznym.

Czy to jest główny cel poematu p. Hamerlinga?

Sądząc z ostatniego rozdziału, możnaby myśleć, że tak, ale biorąc pod uwagę całość, niewiadomo, co sądzić w tym względzie. Większa połowa książki jest panoramą orgii i rozpusty rzymskiej, odmalowaną tak misternie i ponętnie, z takim niemal zapałem i rozlubowaniem się w przedmiocie, że w końcu przychodzi na myśl czytelnikowi, czy p. Hamerling sam nie chce od-

grywać roli Ahaswera i lubieżnymi obrazami pobudzając ludzkość (która podług niego ma znów stać na punkcie przesilenia) do rozpusty, przyśpieszyć nadejście nowej epoki. P. Hamerling, czując, że mu z tej strony należą się zarzuty, usprawiedliwia się z góry i zasłania się imieniem Juwenala

„Jaskrawe Juwenala barwy
U mnie sylwetką stały się nieśmiałą."

ale nie wspomina o tem, że w barwach Juwenala dostrzega się wszędzie ton oburzenia i wzgardy, ton, który się całkowicie ulatnia z Ahaswera. To zresztą, co dla Juwenala było niejako koniecznością — malował przecież współczesne zwyczaje — dla p. Hamerlinga jest tylko amatorstwem.

Pan Ordon, dając nam przekład Ahaswera, okazał całą świetność i misterność swego wiersza, i dla tego tem bardziej należy żałować, że wybór jego padł nie na jakieś arcydzieło, któregoby przekład niepodejrzany skarb wniósł do] naszej literatury, ale na ten zatruty, choć złocisty owoc. *J. T.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 17. stycznia.

Pokazuje się jak to źle, gdy nie mając specyalnej meteorologicznej stacyi, chce ktoś na pewnym stanie pogody i humorze kobiet budować teorye społeczne. W przeszłej kronice tygodniowej ufając pani Aurze, która zachorowała we Lwowie na rozmiękczenie serca, napisałem całą stronicę trenów o znikomości ślizgawki, a na tej ślizgawce oparłem charakterystykę usposobień moralnych społeczeństwa galicyjskiego, gdy tymczasem nim ta kronika ujrzała się czarno na białem, zadął Imci Boreasz od północy, ściął wody i zażartował sobie ze mnie.

Możecie sobie wyobrazić moją autorską boleść serca na myśl, co powiedzą czytelnicy o takiej erudycyi kronikarza, która więcej będzie kapryśną, niż gust kochanych czytelniczek. Trzymając termometr w ręku, biegłem jak szalony do drukarni, aby wstrzymać jęk prasy i odwołać wszystkie poprzednie wypowiedziane systematy — już nierychło. Prosiłem na klęczkach redaktora, aby wyrzuciwszy coś z numeru np. warunki prenumeraty Tygodnia, pozwolił mi zrobić dopisek: „nie czytajcie abonenci dzisiejszego Tygodnia lwowskiego, bo jest na błędnej podstawie oparty", ale gdzie tam, kto kiedy zmiękczył serce redaktorskie! nie pozwolił, i sługa Wasz został wystrychnięty na dudka... Karyera moja może być zwichnięta! A tymczasem, kochani czytelnicy, i ja ukrywałem w sercu swem sporą wiązkę nadziei, że wkrótce potrafię zyskać waszą sympatyę, i że uznawszy m je nieocenione dla świata galicyjskiego zasługi, zaczniecie głowę moją wieńczyć laurem alias bobkowym liściem, że ujrzę na piersiach moich podskakującą przy każdym ruchu koronę żelazną, że w sieniach mojego apartamentu na trzeciem piętrze czekać będą różne deputacye od czytelników z pełnemi ustami mów pochwalnych na moją cześć i przed moją mizerną osobą wygłosić się mających. Już sobie upatrzyłem miejsce nad kominkiem, gdzie stanie puhar srebrny z pokrywką, ofiarowany mi przez wdzięczne korporacye miejskie... już... już... widziałem się wszech-popularną osobistością lwowską, tem powszechnem naczyniem zasług, do którego zlewają się wszelkie hołdy wdzięczności, uznania i sławy nieśmiertelnej. Myślicie, że żartuję? Bynajmniej. Jeżeli szanowny gród nasz nadpełtwiański tyle już głów w ostatnim czasie uwieńczyć potrafił za to tylko, że dużo i głośno gadać mogą na wszystkich ankietach, że ubrawszy swą fizys w togę rozumu, mają tyle wytrwałości w nogach, że za sobą chodzić potrafią i wszędzie znajdą się potrzebnemi, to sługa wasz, co prócz tych wszystkich przymiotów potrafi o niczem jeszcze napisać pięć szpalt Kroniki, miałby do takiego umieszczenia niezaprzeczone prawo. Zresztą mniejsza o uwieńczenie, ale opatrzony patentem wielkości podałbym sześć próśb do sześciu władz o fundusz na koszta podróży np. do Paryża w celach użyteczności publicznej, i za tę wspólną urzędową składkę rozkoszowałbym się po polach elizejskich podczas wystawy, i badając wszystkie posągi blagi, myślałbym nad tem, jakby się wywinąć od złożenia sprawozdania z tej wycieczki. Wprawdzie przy takiem pięciu się do świątyni sławy, zdarza się niektórym wielkościom karkołomne salto mortale, jak naprzykład pewnemu panu profesorowi wszechnicy. Ba, ale już sama profesura jest połową wygranej, a ja przy takiem fiasko pani Aury, nie mogę nawet marzyć o suplen urze. — „Gazeta Narodowa" od kilku dni dołącza ciekawej publiczności codziennie po arkuszu skrutynium moralnego pewnego „Ogólnego prawa politycznego", które wprawdzie politycznie, bo rabunkiem w wielki tom ceny zł. 7 ct. 50 dla uczącej się młodzieży zebrane zostało, ale które niegrzeczny szperacz w osobie Dra. Wiktora poważył się rozebrać do koszuli. Klika Karyerowiczów poczyta mu to za brak wszelkiej znajomości zwyczajów salonowych i do przedpokoju swojego nawet nie wpuści, ale zwolennik siły przed pracą, dobrze i długo się nakrzątał, nim potrafi sobie sprawić nowe ubranie, w którem będzie mógł jak najskromniej pokazać się między uczoną publicznością. I to sprawił mu kłopot jakiś pan Wiktor, człowiek mający imię tylko za nazwisko!?

Karnawał już w kalendarzu i na ziemi jak najformalniej się rozpoczął, a nasze miasto idzie spać o 9ej. Na ulicach pusto, okna ciemne po wszystkich piętrach, maskarad wyprawianych w teatrze nikt znać nie chce, wieczory w kasynie mieszczańskiem odbywają się na papierze gazet, które je anonsami zapowiadają... Straszne rzeczy, do czego ten Lwów dochodzi, i do czego doprowadzi wszystkich kronikarzy dziennikarskich, przedstawiając im całotygodniowy żywot swój jako niezapisany arkusz papieru. Nawet pochodnie Nerona, sprowadzone do sal strzelnicy miejskiej, nie są w stanie zebrać ilości widzów, którzy byliby w stanie uratować od śmierci owiniętych słomą męczenników, gdyby komu przyszła ochota naprawdę te świeczniki podpalić. — I nowo odrestaurowana sala sądowa, do której pierwsi wstąpili socyaliści, i proces tych nieodchowanych jeszcze smoków cywilizacyi zachodniej z komendy Dragomanowa — zaspakaja tylko dziennikarski apetyt na kilka szpalt codziennie.

Dyrekcya teatru, widząc to wszystko, poczyna straszyć nas swoją peregrynacyą na lato do Warszawy, nie pozostaje więc nic innego i kronikarzowi jak pomyśleć o wyniesieniu się do Stanisławowa i odtworzenie tam zgasłego przed paru laty dziennika — bo nie długo we Lwowie prócz białego śniegu nie zostanie nic godnego do sprawozdania.

* * *

W pogadance literackiej, zamieszczonej temi dniami w „Czasie" krakowskim, której pochodzenie lwowskie aż nadto przebija, doczekaliśmy się zaszczytu, że naszą opinię o pseudo-literatach drukowaną w Nr. 19 Tygodnia wzięto za dewizę przeciwko nam samym. Wielki to zaszczyt dla nas, że po kilku latach istnienia Tygodnia, raczono wymówić nasze imię w pańskim salonie z Różanej ulicy.

Szanowny rycerz tej pogadanki, który widocznie dotąd nie dosłużył się własnej broni, puszczając się przeciw nam na wyprawę, musiał w szlachetny sposób wyciągnąć wprzód tę broń z naszej komory. Nie dziwimy się, że z takim animuszem napadł na wszelką rzeszę literacką we Lwowie, bo innej służy parafii, ale zastanawia nas obojętność jego chlebodawców, z jaką pozwolić mu bawić się w fałszywą denuncyacyę względem autora „plotek i nie plotek warszawskich." Wiemy z przekonania, że takie nielojalne rzeczy dotąd nawet w przedpokojach pańskich nie były cierpiane... Czyżby do tylu innych znanych cech konserwatyzmu, i ta nowość donosicieli wprowadzoną być miała?

Gdybyśmy w ten sposób znowu chcieli się zasłużyć naszej parafii, z daleko większą pewnością niż autor pogadanek moglibyśmy wymienić jego fabrykę żółci literackiej — ale my czujemy jeszcze własną broń przy boku i mamy czyste ręce do wszelkiej godziwej walki.

W końcu zwracamy uwagę szanownego autora pogadanki, że chcąc krytykować hajdamackie poezye, trzeba prócz po francusku nauczyć się czytać po polsku. Pan M Rodoć nie powiedział: „Będziecie wy *dla* ojczyzny żebrać przebaczenia," ale *u* ojczyzny.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Björnstein Björnson.* Nowożeńcy. Komedya w dwóch aktach, przekład A. Walewskiego. 8ka. str. 27. (Biblioteka teatrów amatorskich Nr. 1.) Lwów 1878. 40 ct.

— *Bolesławicz.* Biała książeczka (Poezye) 16ka, str. 47. Lwów 1878. 50 ct.

— *Chamski M. D.* Bez szczęścia. Nowella. 8ka, str. 65. Lwów 1878. 60 ct.

— *Dzierzkowski Józef.* Salon i ulica. Powieść. 8ka, str. 329. Lwów 1878. 80 ct.

— *Dzierzkowski Józef.* Szkoła świata. Powieść 8ka, str. 109. Lwów 1878. 80 ct.

— *Dzierzkowski Józef.* Uniwersał hetmański. Powieść. 8ka, str. 222. Lwów 1878. 1.40

— *Dzierzkowski Józef.* Wieniec cierniowy. Powieść. 8ka, str. 147. Lwów 1878. 1 złr.

Fałkowski Wł. K. Chów swojskich, krajowych i zagranicznych gęsi, łabędzi, kaczek, pantarek, indyków, bażantów i pawi, z naturalno-historycznym opisem z trzema litografowanemi tablicami od VI do VIII. 4ka, str. 31. Lwów 1877, wraz z częścią I. zawierającą chów kur z pięcioma tablicami i jednym drzeworytem 3 złr.

— *Kalendarz składany* na rok 1878. 40 ct.

— *Łączyński Henryk hr.* Za panią matką idzie pacierz gładko. Przysłowie dramatyczne w jednym akcie, 8ka, str. 32. Lwów 1878. 30 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Nowe powieści Kraszewskiego!

Jednę pt. „U babuni“ drukuje „Tygodnik romansów i powieści.“

Drugą historyczną wielkiego zakroju pt. „Fleming“ rozpoczął „Tygodnik illustrowany.“

— Biblioteka pozostała w Warszawie po zwiniętej b. akademii duchownej warszawskiej, która wraz z dołączoną do niej tak zwaną Ś-to Krzyzką biblioteką, zawiera 50.000 tomów, wysłaną zostanie wkrótce, jak tyle innych, do Petersburga.

Pan Rapacki ukończywszy swój dramat pt. „Maćko Borkowicz,“ który ma być wkrótce grany na krakowskiej scenie, pracuje obecnie nad innym dziełem pt. „Klonowicz.“

— Kongres więzienny. W Snymiu 1878 r. w Stokholmie odbędzie się międzynarodowy kongres więzienny. Głównem zadaniem kongresu będzie zbadanie kwestyi, jakim sposobem liczbę przestępstw zmniejszyć do minimum przez zabezpieczenie małoletnich od moralnego upadku, i umoralnienie upadłych. Oprócz tego inne kwestye także bardzo ważne podjęte będą na kongresie.

— Siemiradzki maluje obecnie aż sześć płócien osłoniętych... tajemnicą. Pracownia jego w Rzymie (położona na Vicolo della Margutta), jedna z największych w duchowej stolicy świata, w roku ubiegłym została przerobiona i odpowiednio przystrojona. Okno jej, wielkich rozmiarów, umieszczone w bocznej ścianie, wychodziło na podnóże Monte Pincio, piętrzącego się malowniczo i strojnego ogrodami. Obecnie okno to zostało skasowane, światło zaś pada przez obszerne szkła umieszczone w suficie, na ścianach porozwieszane kosztowne perskie kobierce, dokoła stoją szafy biblioteczne z rekwizytami. Tak opisują tę pracownię naoczni świadkowie, którzy w tych czasach Rzym odwiedzali.

— Podróż Juliusza Verne'a. Pełen fantastycznych pomysłów autor całej seryi podróży po lądach i morzach, pod lądami i morzami, głośny Juliusz Verne, wybiera się na wycieczkę Oceanową, co naturalnie zapowiada znów cały szereg sensacyjnych powieści, o których nabycie traktują już naprzód z podróżnikiem paryscy wydawcy.

Co szczególnie jednak jest charakterystycznem w zaprojektowanej przez Verne'a podróży, to to, że odbędzie ją na własnym statku. Autor podróży do „wnętrza ziemi,“ obstalował dla siebie w warstatach w Hawrze jacht żelazny, parowy, o sile stu koni, mogący upłynąć 11 węzłów na godzinę, a co lepsza, zapłacił już za niego „gotówką.“ Jacht zwie się St. Michel i gotów już jest do wypłynięcia na pełne morze.

Szczęśliwi ci francuscy pisarze, którzy piórem mogą wznosić dla siebie pałace i budować parowe okręty.

Przed laty dziesięciu Juliusz Verne posiadał tylko skromną szalupę żaglową, na której zbyt daleko puszczać się na fale i wiatry nie mógł, dzisiaj jest już właścicielem parowego jachtu; a że wszystko iść musi naprzód, zatem Verne napisze jeszcze z jakie 10 tomów o księżycu, Neptunie lub jakich mieszkańcach krateru Etny i sprawi sobie pancernik z armatami Kruppa.

— Objętość głowy. Jeden z lekarzy paryskich, dr. Deloney, opierając się na zasadzie, iż u ludzi zajmujących się pracą umysłową, objętość głowy jest większa jak u tych, którzy tylko fizycznie pracują, począł robić szereg doświadczeń, dość ważnych pod względem psychologicznym. W tym celu dr. Deloney używał czapek i kapeluszy, jako przybliżonej miary objętości głowy i przy pomocy tego arcy prostego środka, doszedł do następujących rezultatów. Studenci instytutu politechnicznego i uniwersytetu paryskiego mają w ogólności większe głowy od uczniów szkoły wojskowej w Saint-Cyr i od seminarzystów od św. Sulpicyusza. Kapelusze, przeznaczone dla zamożniejszych i wykształceńszych klas, po sklepach są zwykle oznaczone wyższemi numerami, niżeli kapelusze i czapki, jakich używają niżsi urzędnicy i handlarze. Najtańsze czapki, przygotowywane dla służących, wyrobników itp. są zwykle najmniejsze. W dzielnicach miasta najbardziej handlowych i przemysłowych, jak np. przedmieście Monmartre, kapelusze sprzedawane po sklepach mają objętości od 56 do 58 centymetrów, w dzielnicy zwanej Mouftar, jednej z najnędzniejszych i najbrzydszych Paryża, miara kapeluszy i czapek dosięga zaledwie 52—53 centymetrów. W dzielnicy św. Sulpicyusza oraz na przedmieściu Saint-Germain, gdzie się mieści śmietanka paryskiego wielkiego świata, dr. Deloney znalazł kapelusze najmniejszej z całego Paryża objętości, gdy tymczasem w „Quartier latin,“ gdzie znajduje się największa liczba średnich i wyższych zakładów naukowych, sprzedają najobszerniejsze kapelusze, bo mające objętości od 58 do 60 centymetrów. Obserwacye te dopełnić należy obserwacyami pp. Brook i Lacassani, którzy twierdzą, że głowy oficerów są w znacznej części większe od głów prostych żołnierzy; głowy lekarskie od głów felczerskich itd. Przekonano się także, że głowy wieśniaków, którzy osiedli w mieście, zwiększają się, wskutek pobudzonych otoczeniem miejskiem sił inteligencyi.

— Na ławie oskarżonych przed wydziałem kryminalnym poznańskiego sądu powiatowego stawało d. 5. bm. aż trzech redaktorów poznańskich czasopism, mianowicie za *Kuryera* p. J. Żórawski, za *Orędownika* p. dr. Szymański, za *Dziennik Poznański* pan Stanisław Bronikowski. Przedmiotem pierwszym oskarżenia była sprawa przeciwko *Kuryerowi* i *Orędownikowi* o rzekomą obrazę nauczyciela p. Pawłowskiego z Markowa, w parafii murzyńskiej. Sprawę tę odroczono, ponieważ dwóch świadków odwodowych się nie stawiło. W drugiej sprawie sądzono redaktora odpowiedzialnego *Kuryera* i p. St. Bronikowskiego z *Dziennika* o rzekomą obrazę p. Rexa wskutek zamieszczenia w dosłownem brzmieniu mowy posła p. I. Łyskowskiego, mianej w pruskiej Izbie poselskiej w dniu 8go listopada r. z. I tę sprawę po całogodzinnem rokowaniu trzeba było odroczyć dla braku tłómaczeń odnośnych artykułów. Redaktora *Kuryera* bronił pan mecenas dr. Jażdżewski. Trybunałowi przewodniczył radca sądu pow. pan Potworowski, jako ławnicy zasiadali: radca p. Gregor i asesor Traumann. Prokuratoryę król. reprezentował p. Heinemann. Miejsce, dla słuchaczów przeznaczone, było przepełnione publicznością, która na to niezwykłe zjawisko sądzenia odpowiedzialnych redaktorów trzech polskich czasopism się zebrała.

— Imiennik nasz *Tydzień* wychodzący w Piotrkowie znowu na Nowy rok ukazał się z druku. Ma on tę słabość, że się sprzeniewierza swej nazwie i zamiast co tydzień, wychodzi parę razy do roku, poczem usypia, aż Nowy rok znowu go do życia powoła.

— Rodak nasz p. *Chełmoński*, malarz, doczekał się wielkiego uznania w świecie znawców malarstwa i amatorów obrazów. Dziennik „Soir“ oddaje niezwykłe pochwały ostatniemu obrazowi jego pędzla.

Szkoły.

— Ze sprawozdania Dyrekcyi gimnazyum w Przemyślu za r. 1877 dowiadujemy się, że w gimnazyum tem grono nauczycieli składało się z 23 osób. Liczba uczniów 8 klas dochodziła 592, tj. Polaków 303, Rusinów 162, Niemców 17. Egzamin dojrzałości złożyło 15 uczniów.

Wynalazki.

— W Rzymie profesor Rogierro, Włoch, wynalazł statek podwodny, zupełnie podobny do parostatku, z tą tylko różnicą, że za pomocą zwyczajnego gwintu zanurza się on w wodę i pod nią płynie wedle woli i podobnież zatrzymuje w obranem miejscu. Siłę działającą w tym wypadku stanowi elektryczność, która służy zarazem do oświetlenia statku wewnątrz, jak również otaczającej go wody.

Wiadomości ekonomiczne.

— W gubernii kieleckiej znajduje się obecnie w ruchu przeszło 360 różnych fabryk i zakładów przemysłowych, których roczna produkcya dochodzi ogółem do 4.590,000 rs. W zakładach tych pracuje 4.000 robotników płci obojga.

— W roku bieżącym przypada jubileusz pięćdziesięcioletni istnienia jednej z najpoważniejszych w naszym kraju instytucyj, a mianowicie Banku Polskiego.

Historya założenia banku jest następująca:

Na początku roku 1828 sejm przedstawił władzy wypracowany przez siebie projekt banku państwowego z mianem: Bank Polski.

Projekt ten zatwierdzony został Ukazem Najwyższym z dnia 28. stycznia 1828 r. a bank otwarto dnia 8go maja tegoż roku.

Fundusz zakładowy początkowo miał wynosić 30 milionów złotych, lecz już w roku 1834 podniesiono go do 42 milionów złp., a w maju 1841 do 8 milionów rubli.

Pierwotnie zadaniem banku miała być pomoc w czynnościach umorzenia długu państwowego, oraz przyłożenie się do podźwignięcia handlu i kredytu.

W pierwszym roku istnienia obrót roczny banku nie był nazbyt znaczny.

Ogół zdyskontowanych weksli wynosił ledwo 458.100 rs., specyalne kredyty z ewikcyą na majątkach 1500.000 rs., a czysty dochód 11%.

Obecnie działalność banku rozszerzyła się do tego stopnia, że posiada on 10 filii, a podług bilansu na 1. listopada r. z. pozostawało w portfelach po zdyskontowanych wekslach rs. 10,912.291, w liczbie tego w filiach prowincyonalnych 6.286.135; specyalne kredyty dochodzą do rs. 2,425.531, a czysty dochód za rok 1875 wynosił rs. 1,017.300 i za 76—1268600, co w stosunku do kapitału zakładowego stanowi za rok pierwszy 13%, za drugi 15%.

Bank polski spełniał zawsze z godnością i baczeniem na dobro ogólne, swe zadanie, za dowód czego służyć może okoliczność, że raz tylko w ciągu pięćdziesięcioletniego istnienia, podniósł normalną swą stopę procentową 6% o pół procentu, a nawet po roku 1874 zniżył ją o 1%.

Podobno w odpowiednich kółkach robią się przygotowania z okoliczności tego jubileuszu.

Nekrologia.

† Dnia 11. stycznia rb. zmarł w Warszawie *Adam Bartoszewicz*, radca dworu, b. inspektor szkół, b. marszałek pow. bialskiego za Królestwa kongresowego.

Ś. p. Adam urodził się w r. 1794 w Świrczach w powiecie wiłkomirskim z ojca Jana rotmistrza wiłkomirskiego i matki Anny z Kuszelewskich.

Ukończywszy uniwersytet wileński, otrzymał posadę nauczyciela w Białej na Podlasiu. Zostawszy inspektorem, przeniesiony został do szkół w Łukowie, a następnie do Warszawy.

W r. 1850 otrzymał emeryturę.

Zmarły był ojcem zasłużonego badacza dziejów Juliana. Uczniami jego byli: J. I. Kraszewski, Roman Zmorski, biskup Rzewuski...

Zbieracz przysłów posiadał największy zbiór paremiograficzny. Pisywał artykuły literackie w Pamiętniku moralnym, Encyklopedyi powsz., Tygodniku Illustrowanym. W programacie bialskim drukował: Rzecz o matematyce. Zostawił w rękopiśmie wiele prac matematycznych.

W życiu prywatnem był człowiekiem prawym i uczynnym, cieszył się przeto ogólnym szacunkiem.

Cześć jego zacnej pamięci!

† Umarł w Dreźnie Wielopolski, były wielkorządca moskiewski w Królestwie Polskiem. Kartka pośmiertna datowana dnia 31-go grudnia r. z. w Dreźnie brzmi jak następuje: „Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski, b. Naczelnik Rządu cywilnego w Królestwie Polskiem, po jedynasto-letniej ciężkiej chorobie, opatrzony śś. Sakramentami, zasnął w Bogu dnia 30-go grudnia 1877 r., o godzinie 10-ej wieczorem. W smutku pogrążeni, wdowa, dzieci i wnuki zmarłego zapraszają przyjaciół i ziomków na żałobne nabożeństwo, w królewskim kościele katolickim we czwartek, dnia 3 stycznia 1878 r., o godzinie 11tej z rana odbyć się mające“.

ROZMAITOŚCI.

— Niedobrane stadło. Ośmdziesięcio-pięcio letni mieszkaniec Piotrkowa pojął w tych dniach czwartą żonę w osobie 17-letniej dzieweczki.

Dorosłe dzieci i wnuki pana młodego tak były oburzone ożenieniem starca, że wytłukli wszystkie szyby w mieszkaniu nowożeńców.

Podobno dla złagodzenia przykrego wrażenia tej niemiłej rodzinnej demonstracyi, czuły staruszek ofiarował swej młodej żonie karetę i perłowy garnitur wartujący kilka tysięcy rubli...

Niezwykły wybryk młodej dziewczynki. Czternastoletniej córeczce zamożnej i szanowanej rodziny w Petersburgu przyszła chęć zabawienia się w dorosłą damę. Korzystając z nieobecności swojej matki

Helenka otworzyła przedewszystkiem komodę, wyjęła z niej dwie sztuki premiowej pożyczki i wyszła z domu z zamiarem dogodzenia swej fantazyi. Przedewszystkiem wynajęła powóz, a że tego dnia właśnie Petersburg był illuminowany, kazała się wozić po mieście. Po kilkogodzinnym takim spacerze chciała wynająć numer w hotelu dla spędzenia tam nocy. Nie łatwo jej to przyszło, pomimo bowiem, że prezentowała się wszędzie jako świeżo z prowincyi przybyła dama, słowem małoletniej podróżnej jakoś nie dawano wiary i z trudnością zaledwie udało jej się znaleźć przytułek w jednym z drugorzędnych hotelów. Tu zadysponowała sobie sutą kolacyę z winem i zamówiła powóz na następne rano. Nazajutrz młoda emancypantka cały dzień przepędziła na robieniu sprawunków, a wieczorem zamówiła lożę do Aleksandryjskiego teatru, do której zaprosiła jednę ze swoich przyjaciółek tegoż co i ona wieku. Podczas przedstawienia obiedwie dziewczynki z trudnością utrzymywały się w roli dorosłych dam. Z wszelką jednak powagą przyjęły wizytę jakiegoś elegancko ubranego pana, który wszedłszy do loży sam się zarekomendował i oświadczył, że dawno już szukał sposobności poznania się z panną Heleną. Przybyły po chwili rozmowy zaprasza obiedwie damy na kolacyę do najlepszej w Petersburgu restauracyi. Zaproszenie zostaje przyjęte. W najlepszych humorach siadają wszyscy do powozu — humor jednak niknie nagle, gdy powóz zamiast przed restauracyą zatrzymał się przed biórem policyi.

Naturalnie stało się to na skutek starań matki Helenki, która zmuszoną była przepędzić całą noc w biórze policyjnem. O całej swej fantastycznej wycieczce mówiła jako o rzeczy zupełnie naturalnej, nawet zabór pieniędzy uważała za czyn wcale nienaganny, wychodząc z tej zasady, że majątek rodziców należy przecież także do dzieci i że starsza jej siostra używa już tego majątku z całą swobodą.

Po zbadaniu stanu zdrowia Helenki, odesłano ją na kuracyę do domu obłąkanych.

W tunelu św. Gotarda wkopano się do dnia 16 grudnia od strony Göschenen, tj. od północy, na 5008,40 m., od strony Airolo, tj. od południa, na 4591,60 m., razem więc na 9.600 metrów. Ponieważ cała długość tunelu obliczona została na 14.900 metrów, przeto roboty dotychczasowe wynoszą dwie trzecie części całej budowy. Teraz jednak właśnie nasunęły się największe trudności, natrafiono bowiem w takich strasznych głębiach od strony północnej na twardy kamień serpentynowy, a od strony południowej na kruchy łupek, w wysokim stopniu utrudniający dalsze wiercenia.

Nowożytna wyprawa po złote runo.

Pan S., obywatel gubernii grodzieńskiej odbierał w Warszawie znaczną sumkę, bo dwadzieścia tysięcy rubli.

Wieść o tym fakcie rozeszła się pomiędzy warszawskimi „mistrzami złodziejskimi", którzy widocznie mają nieźle uorganizowane stowarzyszenie i czujną a dobrze uwiadamiającą własną policyą.

Aż sześciu tych majstrów zarzuciło na pana S. sieci, pan S. cało jednak wymknął się z Warszawy, unosząc ze sobą, na skrzydłach pary, złote runo.

Obława się nie powiodła, mistrze złodziejscy składają tedy radę i postanawiają urządzić wielką wyprawę, na wzór nieśmiertelnego Jasona i dzielnych jego towarzyszy.

Miejsce okrętów zastąpił parowóz buchający parą, miejsce mytu — pewność.

I stało się, że właśnie w chwili, gdy pan S. przybywszy do domu, składał pieniądze do dobrze zamykanej kasy, nowożytni argonauci w ślad za nim wpadli do pokoju.

Tu rozpoczęła się walka.

Pan S. ani się spodziewał, że jest przedmiotem pogoni sześciu barczystych i odważnych śmiałków, pogoni, która trop w trop dążyła za nim z Warszawy.

Śmiało jednak i rezolutnie stawił czoło napaści.

Wypalił z rewolweru i kula położyła trupem jednego z łotrów.

Pozostali jednak rozbroili pana S., odebrali złote runo, ponętnie przedstawiające się w postaci banknotów na dwadzieścia tysięcy rubli, i — żwawo umknęli ze zdobyczą.

Już — już szczęśliwie wracali z wyprawy, ale na ich nieszczęście po drodze zawadzili o Grodno, a w Grodnie o hotel amerykański.

Ten port nie był dla nich bezpiecznym: tu ich zaskoczyła burza, przybrawszy na się postać... policyi.

Pięciu złoczyńców dostało się do więzienia — złote runo zaś też im odebrano — ale już nie całe.

Zbyt huczno oni widać odprawiali tryumf, zbyt wesoło opłakiwali zgon dzielnego towarzysza — bo w nader krótkim czasie roztrwonili dwa tysiące rubli.

Do kasy pana S. powróciło tylko ośmnaście tysięcy.

Zaczadzenie od lampy. Mocno przykręcone lampy naftowe, jakie nieraz zostawia się zapalone na całą noc, wydają czad bardzo szkodliwy dla zdrowia, który nawet niekiedy może być zabójczym. Niedawno w Berlinie 2 osoby zagorzały od przykręconej lampy i chociaż rano znalezione zostały jeszcze przy życiu, umarły w ciągu dnia.

Dr. Gustaw Fritsche opisuje w numerze 1-ym tegorocznej „Medycyny" nadzwyczaj ciekawy wypadek dowodzący, jak zgubne skutki dla zdrowia sprowadzić może używanie na twarz bielidła, zawierającego ołów (jak wiadomo prawie wszystkie bielidła mają, jako główną część składową t. zw. „bleiwas").

Dwudziestoletnia aktorka używała przez $1^1/_2$ roku na twarz i na szyję bielidła, które sobie sama z bleiwasu, wódki kolońskiej i td. przygotowywała.

Skutkiem tego dostała nadzwyczaj silnego bólu żołądka, połączonego z innemi żołądkowemi objawami, twarz jej była blado żółtawa i wyrażała wielkie cierpienie, dziąsła pokryły się jakąś masą czarnego koloru i wreszcie dostała paraliżu obudwóch rąk, tak, iż wcale władać niemi nie mogła.

Dr. Fritsche leczył ją przez trzy miesiące i doprowadził jej zdrowie do stanu normalnego, ruchy jednakże w prawej ręce były i zostaną prawdopodobnie na całe życie utrudnione.

Lewa ręka odzyskała władzę w zupełności

Wielki dyament barwy mlecznej wydobyto na tzw. polach dyamentowych w południowej Afryce, w okolicy Dutoispan. Dyament ten waży $5^1/_2$ karatów. Szczęśliwemu znalazcy ofiarowano zań już sumę 300 fnt. szterlingów, którą jednak uznał za zbyt niską. Jednocześnie inny poszukiwacz w minach Kimberley znalazł dyament ważący przeszło 100 karatów, jednak nie taki piękny jak poprzedni.

CZŁOWIEK BEZ OJCZYZNY.

NOWELLA.

Fr. C. Wickede

Chcę tu opowiedzieć czytelnikom moim historyę zwykłego człowieka, którego pojawienie się nie stanowiło w historyi świata żadnej epoki, gdyż przedsięwzięcie w którem wziął udział, nie udało się i zdało go na łaskę sędziów.

Zresztą nie znajdzie się zapewne ani jeden z czytelników, któryby coś kiedyś o nim słyszał, przecież nawet w jego rodzinnym kraju mało jest takich, którzyby go sobie przypominali, gdy w gazetach w jesieni r. 1863 pojawiła się wiadomość o jego śmierci. Wiadomość ta była zawartą w następujących słowach:

„Dnia 11. maja umarł na pokładzie korvety Stanów Zjednoczonych Lewant w 20° 11" południowej szerokości i 13° zachodniej długości Filip Nolan."

A jednak ten człowiek, ten Filip Nolan, był kiedyś przeznaczony do odegrania wielkiej roli.

Było to w r. 1806. Pułkownik Burr wiceprezydent Stanów Zjednoczonych pod Jeffersonem (1801—1809) był oskarżony o zdradę stanu i uwięziony z powodu oskarżenia o knucie spisku, którego celem miało być utworzenie południowego cesarstwa pod jego panowaniem. Plan jego, jak się zdaje, miał być bardzo dobrze zorganizowany, a pomiędzy niezliczonymi zwolennikami śmiałego awanturnika, jednym z najczynniejszych i najwybitniejszych był Filip Nolan, porucznik armii.

W twierdzy Massac przyłączył się on do przedsięwzięcia, które jak to już nieraz się zdarzało, za spiesznie rozpoczętem zostało, i nie mogło osiągnąć zamierzonego celu.

Przy wyprawie na Nowy Orlean został on wzięty razem ze swoim naczelnikiem do niewoli i postawiony w twierdzy Adams przed sąd wojenny; nie był on ani mniej ani więcej winny od innych, którzy się dali oślepić pociągającymi widokami Burra. Jest jednak jedno stare przysłowie, że się małych złodziei wiesza, a wielcy chodzą swobodnie po świecie, i tak się też i tu zdarzyło. Burr został uwolniony z powodu braku dowodów a kozłami ofiarnymi stali się Nolan i inni. Wściekły na to obejście się z nim stał Nolan przed swymi sędziami, aby wysłuchać wyroku, i nigdybyśmy prawdopodobnie w przyszłości nic o nim nie słyszeli, gdyż wszystkich uczestników wypuszczono z małą karą, gdyby młodzieńcza swawola nie włożyła mu w usta odpowiedzi, która go zrobiła tem, czem na zawsze pozostał: „Człowiekiem bez ojczyzny". Na zwykłe zapytanie przewodniczącego sądu, czy Nolan ma jeszcze co do powiedzenia na swoją obronę przed wysłuchaniem wyroku, podniósł się, uderzył kułakiem po stole i krzyknął:

„Niech djabli porwą Stany Zjednoczone, chciałbym już nigdy nic nie słyszeć o nich!"

Prawie wszyscy oficerowie składający sąd wojenny, brali udział w wojnie o oswobodzenie i narażali swe życie dla idei, którą Nolan deptał w tej chwili nogami. Lecz Nolan był nieugłaskanem dziecięciem przyrody; urodzony w Texas na plantacyi, gdzie najlepszym towarzystwem, które mógł mieć, był w najszczęśliwszym wypadku jakiś oficer hiszpański lub kupiec z Nowego Orleanu, nie miał żadnego innego wykształcenia, jak tylko to, które kiedyś raz w zimie od pewnego angielskiego nauczyciela otrzymał; zresztą pół swojej młodości przepędził ze swoim bratem na stepach rodzinnych, siedząc na dzikim koniu, którego sam złowił i polując z lassem w ręku na bawoły. Później Unia dała mu wprawdzie mundur, który nosił i miecz, którym przysiągł bronić swej ojczyzny, lecz państwo postanowiło ukarać w jego osobie przestępstwo innych, i chociaż nie możemy zupełnie usprawiedliwiać jego postępków, jednak nie możemy wydawać nadto surowego sądu.

Sąd udał się na ustęp po słowach Nolana, które wywołały nieskończone oburzenie, lecz już po piętnastu minutach pojawił się znów z wyrokiem: „Że porucznik Filip Nolan winien zdrady stanu, i jest skazany na to, żeby nigdy nie słyszał o Stanach Zjednoczonych."

Nolan śmiał się; jednak na bladych twarzach wokoło nie widziano żadnej wesołości. Kara wydawała się dosyć łagodną, tylko jego własne żądanie miało być wypełnione, i zostało ono wypełnione. Od 23. września 1807 r. aż do dnia śmierci w 1863 nigdy już nie słyszał imienia swego kraju rodzinnego, i przez pięćdziesiąt sześć lat nie miał ojczyzny. Prezydent Jefferson potwierdził wyrok, z którego odpis wręczono Nolanowi. Później gdy się spalił dom rządowy w Waszyngtonie spaliły się także i wszystkie dokumenta tego procesu, i gdy w r. 1817 kapitan Watson raportował w departamencie Waszyngtońkim o Nolanie, był on już zupełnie ignorowany, niewiadomo czy umyślnie czy też bez zamiaru, w każdym razie faktem jest, że po tym czasie żaden komendant statku nie robił w swych raportach wzmianki o więźniu.

Porucznik Mitchell z „Nautilusa", który pierwszy otrzymał więźnia pod opiekę, dostał razem z nim następującą pisemną instrukcyę:

„Za pośrednictwem porucznika Nealla otrzymasz pan osobę Filipa Nolana, byłego porucznika w armii. Wyraził on podczas śledztwa w sądzie wojennym z przekleństwem życzenie, aby nie słyszał już nigdy nic o Stanach Zjednoczonych i wyrok zadowalnia te jego żądania. Przyjmiesz pan więźnia na pokład swojego statku, i użyjesz wszelkich środków, aby przeszkodzić jego ucieczce. Dasz mu pan opiekę i ubranie, odpowiednie do jego stanu poprzedniego. Oficerowie porozumieją się pomiędzy sobą co do sposobu obcowania z nim; w każdym razie obchodzić się powinni z nim przyzwoicie i nic nie powinno mu przypominać, iż jest więźniem. Pod żadnym jednak warunkiem nie powinien nic ani widzieć ani słyszeć takiego, coby mu przypominało ojczyznę, i pan będziesz miał szczególne staranie, żeby każdy z podwładnych panu oficerów nigdy nie wykroczył przeciw temu rozporządzeniu w którem właśnie tkwi kara więźnia.

Wolą jest rządu, aby on nigdy już nie ujrzał ojczyzny, której się zaparł; pod koniec pańskiego krążenia po morzu otrzymasz pan rozkazy potrzebne do utrzymania w dalszym ciągu rozporządzeń. Podpisano minister żeglugi. Z Nautilusa przeniesiono Nolana na inny okręt, który miał długą podróż do odbycia, a komendant jego Shaw zaordynował odpowiednią etykietę i środki przezorności, które były zachowywane przez wszystkich następnych do-

zorców Nolana, aż do samej jego śmierci i które jako instrukcye, były oddawane z rąk do rąk.

Kapitan Shaw pozwolił mu znosić się nieograniczenie z oficerami na pokładzie, z majtkami zaś tylko w obecności przełożonych, mimo to stał on zwykle na uboczu, nie narzucał się, jak wszyscy ci, którzy czują, że są tylko cierpiani, ponieważ jego obecność usuwała wszelkie rozmowy o stosunkach rodzinnych, o wojnie i pokoju, o sprawach politycznych i familijnych w ogóle o przedmiotach, które stanowią połowę treści rozmowy na morzu, więc żadna warstwa nie mogła go mieć stale przy sobie, a ponieważ byłoby to za ostrem, zupełnie go z towarzystwa wyłączyć, zachowywano w tym względzie formalny system. W poniedziałek zapraszał go kapitan na objad, a każdego innego dnia był gościem w innem towarzystwie, śniadanie i kolacyę spożywał w swym gabinecie, który był mu obok warty wyznaczony; załoga zapraszała go także na swe małe zabawy i zdawało się, iż lituje się ona szczerze nad „sukiennym guzikiem“ jak go nazywano, gdyż nie wolno mu było nosić guzików błyszczących.

Podczas wszystkich podróży nie wolno mu było wysiadać na ląd, a wszystkie dzienniki i książki, które otrzymywał, były kontrolowane, nawet najniewinniejszy anons handlowego domu amerykańskiego, był wycinany i zdarzyć się mogło tak, że znajdował wśród sprawozdań o wojnach Napoleońskich lub mowach Caninga wielkie wycięte otwory.

Kapitan Shaw był odkomenderowany do domu, wylądował w Rapstacie i po kilkudniowem oczekiwaniu sygnał zował przypływające towary.

Dotąd Nolan uważał swą niewolę za żarty, i okazywał wielkie zadowolenie z podróży morskiej; jednak zdziwił się niemało, gdy otrzymał rozkaz przygotowania się do opuszczenia okrętu i udania się w drugą podróż pod kapitanem Philipsem, tym razem już na morze Śródziemne.

Oficer ten opowiada, że gdy Nolan wyszedł znów z swojej kajuty, zdawało mu się, że widzi przed sobą innego człowieka: nieszczęśliwy przekonał się, iż już nie ma dla niego do kraju powrotu, nie ma nawet powrotu do więzienia. Było to pierwsze z dwudziestu następujących przesiadań, które odbyć musiał, aby się przekonać o wypełnieniu swojego żądania, i los jego był w samej rzeczy straszniejszym niż los spiskowców, którzy z bronią występowali przeciw ojczyźnie, gdyż żyli oni w innych krajach i mogli mieć udział w sprawach rodzinnych, mimo że byli wyłączeni z pod ogólnej amnestyi.

Wzorowe jego zachowanie się podczas podróży wykazało dostatecznie, iż żałuje swej głupoty i poddaje się jak na męża przystało swemu losowi; nigdy nie zwiększał umyślnie trudności przykrej pozycyi tych, którzy go pilnować mieli, wypadki jednak były nie do uniknienia, lecz nigdy ich sam nie wywołał. Z rozmaitych zdarzeń, boleśnie przypominających mu kraj rodzinny, który lekkomyślnie utracił, przytoczymy trzy, które dowodzą jak silnie odczuwał swą stratę.

Było to podczas niewoli na okręcie „Brandywina“; jeden z oficerów pożyczył od swego towarzysza w Aleksandryi całą pakę książek, co w owych czasach było uważane za prawdziwe skarb znaleziony. I Nolan był także zaproszony do wzięcia udziału w kółku, które się utworzyło w piękne sierpniowe popołudnie na tylnym pokładzie pod namiotem. Chciano czytać głośno, aby przyjemniej czas spędzić i czytanie z kolei padło na Nolana. Wybrano tą razą Scotta „Pieśń ostatniego Minstrella“ i wszyscy byli nią zachwyceni. Z patosem rozpoczął Nolan szósty pieśń nie spodziewając się wcale co weń uderzy:

Ach! komuż serce tak tchórzliwie bije!
Kto nigdy jeszcze w ognistym zapale
Nie wołał, Ojczyzno witam ciebie!

Wszyscy zmięszani popatrzyli na siebie a Nolan pobladł; spodziewał się jednak widocznie, iż nic takiego już nie nastąpi i czytał dalej:

Komu, komuż nie zadrżała
Pierś, gdy wracał do swej ziemi,
Z strony obcej i dalekiej?
Czy jest taki? Niech nędznika
Imie ginie w niepamięci!

Nie miał na tyle przytomności ducha, aby przewrócić kartkę, już łkać zaczynał, policzki stały się purpurowe, lecz mimo to czytał jąkając się dalej:

Minstrela pieśń nie daje mu wesela
I choć zaszczyty, łaski nań spływają,
Nigdy do życzeń swych nie dojdzie kresu.
Pomimo łask, zaszczytów, bogactw, chwały,
Nędznik! na wzgardę i śmiech przeznaczony!

Było to już za wiele dla Nolana, jak postrzelona sarna skoczył w górę; łzy polały się z oczu jego, jednym ruchem ręki rzucił książkę do morza i uciekł do swej kajuty.

„Przez dwa miesiące“ — opowiada jeden z jego starych towarzyszy podróży — „nie widzieliśmy go wcale pomiędzy nami.“

Niedługo potem jeszcze, podczas wojny z Anglią, statek na którym się Nolan znajdował był zaatakowany przez nieprzyjacielską fregatę, kula wpadła do jednej z luk okrętu amerykańskiego i zabiła oficera komenderującego na pokładzie obok kilku innych ludzi; wtedy wśród zamięszania ukazał się Nolan, jak Deus ex machina, wziął komendę w swoje ręce, kazał wynieść rannych, sam własną ręką nabił działo, wymierzył je i kazał dać ognia, i tak stał jako dowódzca nad działem, wesoły i w dobrem usposobieniu, zimnie odważny zapalał ludzi do boju, i dwa razy tak często strzelał jak każdy inny, aż nareszcie dumny Anglik wywiesił flagę i komendant oddał swą szpadę.

Wtedy wołano. „Gdzie jest Nolan? kapitan chce go zobaczyć“ Nolan przyszedł. „Panie“ — rzekł do niego dowódzca — „byłeś pan dzisiaj jednym z najdzielniejszych na okręcie, i zdam o panu sprawę. Moją wdzięczność wyrażam panu tem o to“ — dodał podając mu swą własną szablę — „kto panu więcej winien sam zapłaci.“ (Nie wolno mu było powiedzieć: Ojczyzna.)

Był to najpiękniejszy dzień w życiu tego człowieka bez ojczyzny i we wszystkich uroczystych wypadkach nosił tę dobrze zasłużoną dekoracyę. Komendant prosił o łaskę dla Nolana, lecz nigdy nie otrzymał na to odpowiedzi. Zaczęto ignorować tę całą sprawę w Waszyngtonie, i stosunki Nolana pozostały też same, gdyż nie przychodziły ztamtąd żadne nowe rozkazy.

Oprócz książek i okolicznościowych rozmów z oficerami, nie miał Nolan żadnych innych rozrywek. Lecz te, które miał, zużytkowywał tak dobrze jak mógł, i po jego śmierci znaleziono niezliczone rysunki i zbiory przyrodniczej wartości. Znał języki prawie wszystkich krajów, które zwiedzał i oddawał liczne usługi jako tłumacz.

W jednej z takich okoliczności zdarzył się wypadek, od którego zaledwie serce mu nie pękło. Okręt, na którym się znajdował, złowił na północno zachodnim wybrzeżu afrykańskim statek wiozący niewolników, i oficer był w kłopocie w jaki sposób wysadzić na ląd murzynów.

Nikt nie mówił ani słowa po portugalsku, którym znowuż wysłowiło się kilku Negrów wybrzeża Fernando Po: wtedy wystąpił Nolan i wytłumaczył wzburzonym murzynom, co się z nimi stanie; spodziewano się, że w ten sposób zaburzenie zostanie uśmierzone. Lecz owszem zwiększyło się ono w sposób budzący obawę i Nolan przetłumaczył, że murzyni życzą być odwiezieni do kraju rodzinnego. Występowały mu krople potu na czoło, gdy ujrzał się otoczonym czterystu Negrami, z których jeden wiadał mu o swojej żonie, drugi o dziecku, trzeci o domie i o rodzicach, i brakowało mu nawet już głosu, i tylko z wielkiem wytężeniem stał się panem sytuacyi, gdy się zgodził na ich żądania. Lecz gdy uszczęśliwione tem tłumy rzuciły się na niego i całowały i pieściły, i prawie go dusiły w swych objęciach, stracił siły tak, że musiał być odniesionym do łodzi. Tam prędko przyszedł do siebie; lecz gdy siedział na pokładzie obok młodego porucznika, nie mógł już powstrzymać boleści, i musiał ulżyć swemu uciśnionemu sercu.

„Młodzieńcze“ — mówił do swego towarzysza, z którym później jeszcze odbył kilka podróży — „możesz się z tego przekonać, co to znaczy być bez rodziny, bez domu, i bez ojczyzny, i gdyby ci się zdarzyło zapomnieć się do takiego stopnia, że coś zrobisz, albo powiesz, co robi rozdział pomiędzy tobą a tymi skarbami, proś Boga aby cię lepiej wziął do Siebie. Przywiąż się do swej rodziny, zapomnij o sobie samym, lecz czyń wszystko dla niej. Mów o niej, pisz i myśl o niej, i im dalej pojedziesz, tem goręcej bądź do niej przywiązanym, jak ci tam biedni niewolnicy. O ojczyźnie, o ziemi rodzinnej, o tej starej fladze, nie myśl o niczem innem, jak tylko im służyć, gdyby nawet ta służba miała cię przez piekło przeprowadzić. Po za wszystkimi tymi ludźmi, z którymi masz stosunek, stoi twoja ojczyzna i do niej należysz jak do swej własnej matki. Wstyd i hańba temu, kto opuszcza swą matkę! O Boże — szepnął do siebie — gdyby ktoś do mnie mówił w ten sposób, w mojej młodości.“

Często potem próbowano jeszcze uzyskać uwolnienie dla biednego więźnia, lecz nikt nie wierzył w Waszyngtonie o istnieniu takiego człowieka. Nie jest to już pierwszy wypadek tego rodzaju. Dla komendantów marynarki cała sprawa była bardzo drażliwą i musimy wyznać, iż było to dowodem honorowego „esprit de corps“ oficerów, że nie rozgłaszali tajemnicy aż do śmierci Nolana, tak, że nic o tem nie wiedziała nawet wszechmocna prasa amerykańska. Z wypadkiem Nolana rzecz się tak miała jak i z wielu innemi rzeczami, gdzie z urzędu jest się zmuszonym do samodzielnego działania: „Udało ci się, więc będą cię popierali; nie udała ci się twa próba, będą się ciebie zapierali.“ Rozkaz obwożenia Nolana po świecie istniał — nie było odwołania — a urzędnik musiał się trzymać prawa, i chociaż niejeden z przyjemnością wypuściłby nieszczęśliwego Nolana, to jednak nie śmiał tego uczynić w obawie narażenia swego stanowiska, a dymisya nie jest przyjemnem słowem dla oficera.

Na łożu śmiertelnem — miał już wtedy około ośmdziesięciu lat — prosił o łaskę usłyszenia czegośkolwiek o Ameryce, i po raz pierwszy od lat sześćdziesięciu, jeden z przyjaźnych mu oficerów dał mu dokładny obraz ojczyzny, opowiedział co się z nią stało, i do jakiego doszła znaczenia. Z uśmiechem błogiego zadowolenia przysłuchiwał się Nolan i widział jak przed oczyma jego rozwija się obraz potężnej budowy. O jednem nie mógł mu wspomnieć przyjaciel, nie mówił mu nic o wojnie domowej. Gdy się uczuł słabszym, otworzył obok siebie leżącą książkę do modlitwy i przeczytał: „Za nas w imieniu całego naszego kraju dziękujemy ci o Boże, żeś nam zachował swoją łaskę, mimo rozmaitych naszych przestępstw. Błogosław i zachowaj twego wiernego sługę prezydenta Stanów Zjednoczonych, i wszystkich, którzy piastują publiczne urzędy.“

Zasnął wtedy spokojnie w zgodzie z sobą i z całym światem.

W jego biblii leżała kartka, na której spisał następującą prośbę: „Pochowajcie mię w morzu; stało się ono moją ojczyzną i nauczyłem się ją kochać; jeżeli rząd, który mię tak srogo ukarał, zachował jeszcze dla mnie tyle szacunku, że zechce mi postawić nagrobek w twierdzy Adams, to niech napisze na nim:

In memoriam!
Filip Nolan
Porucznik armii Stanów Zjednoczonych
Pokój jego popiołom.

Treść Nr. 21.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.